

M MIASTO PLUS

NR 1/2025 (107)
Luty - Marzec



WYŻSZA SZKOŁA BEZPIECZEŃSTWA

Uczelnia na trudne czasy

STR. 10

"WRÓG" I INNE
Rozmowa
z Łukaszem Orbitowskim
nie tylko o książkach

STR. 14

MAGIA FONOTEKI
Czar dawnych technologii
w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej

STR. 17

IMPROWIZACJA I ENERGIA
Elba Zai, czyli wspólna wizja
tworzenia muzyki

STR. 22

KARATE I MIŁOŚĆ
Agnieszka Kowalczyk-Jęcek
i Dariusz Jęcek.
25 lat w kimonach





Salon Łazienek



Najładniejsze łazienki w mieście!

Koszalin, Gnieźnińska 11
tel. 94 346 09 02
www.bokaro.pl

pon. - pt. 8:00 - 18:00,
sob. 9:00 - 14:00



BIURO TURYSTYCZNE
Sławomira Małgorzata Ignatowicz

Wakacje 2025 jeszcze w promocyjnych cenach

OFERTY WYJAZDÓW NA:
NARTY
WIELKANOC
WEEKEND MAJOWY

Odpuścić można zawsze!
– sprawdź bieżącą ofertę Biura

W stałej sprzedaży:

bilety lotnicze, promowe i autokarowe, wizy, rezerwacja hoteli, ubezpieczenia turystyczne

NR ZEZWOLENIA Z-02/03/04



Firma należy do grupy:



75-014 Koszalin, ul. Gen. Wł. Andersa 2, tel./fax (94) 347 04 59, 342 45 11
e-mail: turysta.koszalin@interia.pl, www.turysta.koszalin.pl

Oby do wiosny



Niedawno widziałam taki żart rysunkowy – przy stole siedzi słusznej postury kot, przed nim stół pełen ryb i innych kocich przysmaków, a fu-trzak myśli: do lata zostały: tulipany, jajka, szaszłyki.

Ani się obejrzymy, a będzie Dzień Kobiet, Wielkanoc i majówka. Na lato czeka się z utęsknieniem, ale na razie – wypatrujemy wiosny. W tym wypatrywaniu postanowiliśmy pomóc, przygotowując dla Czytelników prawie wiosenne wydanie „Miasta Plus”.

Czekać na wiosnę będzie przyjemniej, kiedy uatrakcyjnimy sobie czas czytaniem na przykład wywiadu z Łukaszem Orbitowskim. Pisarz opowiedział Michałowi Chmielewskiemu m.in. o tym, o czym jest jego najnowsza książka, jak wygląda proces twórczy oraz dlaczego deklaruje, że więcej już żadnej książki nie napisze. Zamierza zając się... śpiewaniem.

Skoro zrobiło się muzycznie – Justyna Horków zabierze Państwa w sentymentalną podróż do Fonoteki. To miejsce (w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej przy pl. Polonii) zachwyca każdego gościa, na przykład bohaterów spotkań autorskich. Fonotekę odwiedzili Grzegorz Piątek, Filip Springer, Olga Drenda czy Jacek Dehnel. I wszyscy byli oczarowani. Nasze bibliotekarki marzą, żeby ocalić tę perełkę od zapomnienia, ale na to, wiadomo, potrzebne są niemałe pieniądze. Panie po cichu liczą na cud, najlepszym byłby hojny sponsor.

Kiedy spotykają się ludzie z pasją o ogromnej wrażliwości i kiedy mają marzenia – może powstać coś dobrego. Magdale-

na Wojtaszek opowie Państwu o koszalińskiej grupie Elba Zai. Mamy nadzieję, że muzycy spełnią swoje pragnienie wydania płyty, będziemy mogli ich usłyszeć w Centrum Kultury 105 (to informacja m.in. dla tych, którzy twierdzą, że w mieście nic się nie dzieje).

Monika Kwaśniewska natomiast zabierze Państwa w świat sztuki. Porozmawiała z Esterą Parysz-Mroczkowską. Bohaterka materiału urodziła się w Bieszczadach i swojej artystycznej duszy pozwoliła przemówić dopiero po „czterdziestce”. A ta przemówiła. Ale jak! Przekonajcie się Państwo sami.

25 lat po ślubie są Agnieszka Kowalczyk-Jęcek i Dariusz Jęcek. Najczęściej można ich zobaczyć... całych na biało. A to za sprawą wspólnej pasji – oboje są karatekami. Ale w życiu ze sobą nie walczą, raczej idą w jednym kierunku. Tomasz Wojciechowski przedstawia ich sylwetkę (wysportowaną, nawiasem mówiąc).

Robert Nawrocki zabierze Państwa w podróż po Afganistanie, warto się skusić na tę nietypową wycieczkę. A Magdalena Wojtaszek zaproponuje kolejne dania z kuchni włoskiej.

Jest i rozrywka – przygotowaliśmy recenzje książek, filmów i płyt – dla każdego coś miłego. A na czytelniczny deser mamy krzyżówkę.

Czytając „Miasto Plus” z każdym dniem jesteśmy bliżej śpiewu ptaków, romantycznych wschodów i zachodów słońca, i cieplejszych chwil, na które przecież wszyscy czekamy. Wiosna to czas zmian, oby na lepsze – tego Państwu i sobie życzę.

Milej lektury.

Joanna Wyrzykowska
redaktorka naczelna

Subiektywny przegląd wydarzeń



Po raz 33. zagrała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Sumy są rekordowe, bo na Polaków zawsze można liczyć. Brawa bijemy Koszalińskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Na Skarpie”, która włączyła się w orkiestrowe granie na pełnym gazie już po raz drugi. Efekt – 9.014, 49 zł.

Bartosz Kubkowski udowodnił, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych. Pływak pokonał ponad 103 kilometry i ustanowił nowy rekord świata w 24-godzinym pływaniu. To był nie lada wyczyn, do którego mężczyzna przygotowywał się solidnie.

W Muzeum wystawie „Uniwersum” Edwarda Rokosza dodano nową wartość. Artysta cenił sobie taneczną pasję żony. Sara Berman-Rokosz zaprosiła koszalinianki do uczestnictwa w warsztatach tańca performatywnego. To było – jak mówią same uczestniczki – niewyobrażalnie bogate przeżycie.



W Siedlcach został zamordowany ratownik medyczny. Zginął, bo chciał udzielić pomocy. Śmiertelne ciosy zadał ten, którego miał ratować. W całym kraju o jednej godzinie zawyły karetki. Hołd oddany zmarłemu koledze był jednocześnie gestem, który miał zwrócić uwagę na ten problem.

Mało nas – coraz mniej – mówią statystyki. W 2019 roku w Koszalinie urodziło się 1916 dzieci, ale już w 2023 było ich tylko 1329. Jak się okazuje, ani pomoc socjalna od państwa, ani liczne ulgi dla rodzin nie zachęcają młodych Polaków do powiększania rodzin.

Decyzja Rady Miejskiej w Koszalinie podzieliła mieszkańców. Zrezygnowano ze znaczących bonifikat przy wykupie lokali komunalnych. Mieszkańcy, którzy liczyli na to, że po wielu latach inwestowania w cztery kąty wykupią je na własność, muszą obejść się smakiem. Nie dziwi rozczarowanie.

M
MIASTO
PLUS

Redaktor naczelna:
Joanna Wyrzykowska

tel. 94 720 24 00
redakcja@miasto.koszalin.pl

Wydawca:
Telewizja Kablowa Koszalin Sp. z o.o.
ul. Kotarbińskiego 3, 75-352 Koszalin
tel. 94 720 23 00

Redakcja:

Michał J. Chmielewski, Radosław Czerwiński, Justyna Horków,
Monika Kwaśniewska, Anna Makochońnik, Izabela Nowak,
Robert Nawrocki, Magda Pater (foto), Mateusz Prus,
Tomasz Wojciechowski, Magdalena Wojtaszek

Dział reklamy:

Ewa Langer, tel. 94 720 23 06, ewa@tkk.net.pl
Agnieszka Szkapicz, tel. 94 720 24 11,
agnieszka.szkapicz@miasto.koszalin.pl

Grafik:

Piotr Witkowski

BiM-med

CENTRUM MEDYCZNE



- + chirurgia naczyniowa i ogólna**
(w tym konsultacje chirurgiczne, badanie USG Doppler, kompleksowe leczenie żyłaków kończyn dolnych przy użyciu lasera, zamykanie pajęczek naczyń)
- + anestezjologia, medycyna bólu**
- + ortopedia i traumatologia narządu ruchu**
- + fizjoterapia** (20 różnych zabiegów od laseroterapii po masaż klasyczny i ultradźwięki)
- + radiologia i diagnostyka obrazowa**
- + urologia**
- + kardiologia** (w tym echo serca, EKG)
- + dermatologia – wenerologia**
- + pulmonologia**
- + neurologia, logopedia**
- + gastrologia** (gastroskopia, kolonoskopia)
- + podologia**
- + porady dietetyczne**
- + konsultacje psychologiczne**

Centrum Medyczne BiM-med Koszalin

ul. Kościuszki 2, 75-402 Koszalin • pn-pt 9.00-20.00

Rejestracja telefoniczna pn-pt 15.00-20.00 • 94/717-07-70 • rejestracja@bim-med.pl

Psycholog i mundur na niepewne czasy

20 lat temu w Poznaniu rozpoczęła działalność Wyższa Szkoła Bezpieczeństwa. Do tej pory w kraju nie było uczelni, która zajmowałaby się problematyką bezpieczeństwa człowieka. Idea była trafiona, czego dowodem jest osiem lokalizacji uczelni w różnych rejonach Polski. Cztery lata temu szkoła zadowolniła się w naszym mieście. W budynku poczty głównej (ul. Pocztowa 1) i w pobliskim „ekonomie” studiuje około 300 osób. I – jak się okazuje – bezpieczeństwo to termin niezwykle pojemny. Myliłby się ten, kto by sądził, że uczelnia oferuje zdobywanie wiedzy jedynie w zakresie mundurowości. To też, ale przecież bezpieczeństwo to także dobrostan człowieka, a więc komfort życia. Stąd niezwykle popularny obecnie kierunek – psychologia.

Tekst: Joanna Wyrzykowska
Zdjęcia: Magda Pater, archiwum szkoły

Na Wydziale Nauk Społecznych w naszym mieście uczy się obecnie około 300 studentów. Stacjonarnie są grupy dziekańskie o mniejszej liczebności około – 10 osób w grupie, reszta – niestacjonarnie. Ci pierwsi spotykają się od poniedziałku do piątku, drudzy – w weekendy. Część zajęć odbywa się online, część na miejscu. Ale „na miejscu” nie oznacza, że studenci siedzą wiele godzin w ławkach. – Jako szkoła kładąca nacisk na stronę praktyczną zawodu prowadzimy także zajęcia w terenie. To oznacza, że studenci mają je w różnych instytucjach i muszą wywiązać się z określonych zadań – opowiada pani dziekan.

– Na przykład, kiedy omawiamy problem zażywania substancji psychoaktywnych i zaburzeń, jakie wywołują na przedmiocie biologiczne podstawy zachowań studenci mają kontakt z osobami uzależnionymi, odwiedzamy wtedy Centrum Psychoterapii i Leczenia Uzależnień „Anon”. To najlepsza forma nauki, bo nic przecież lepiej nie da się zapamiętać, jak doświadczenie z prawdziwego życia – opowiada. Z zajęć terenowych studenci składają sprawozdania, wynoszą praktyczne umiejętności, które umożliwiają wykorzystanie zasobów wiedzy teoretycznej w praktyce w przyszłej pracy zawodowej.

Odpowiedź na pandemię i wojnę

Świat, jaki jest, każdy widzi – chciałoby się zacytować klasyka. Niestety, nie z uśmiechem, bo obraz naszej rzeczywistości nie rysuje się różowo. Pandemia Covid-19, potem wybuch wojny w Ukrainie – te dramatyczne wydarzenia zmieniły nas jako ludzi i zweryfikowały nasze myślenie o świecie oraz wpłynęły na nasze samopoczucie psychiczne. – Ludzie, szczególnie dziś, w dobie wielu zagrożeń oraz odczuwania niezdefiniowanego lęku, muszą czuć się ze sobą bezpiecznie. Jeśli czujemy się dobrze ze sobą, potrafimy zapewnić bezpieczeństwo swojemu najbliższemu otoczeniu – mówi psycholog oraz pedagog Dominika Kot, dziekan Wydziału Nauk Społecznych w Koszalinie Wyższej Szkoły Bezpieczeństwa z siedzibą w Poznaniu.

A bezpieczne otoczenie z kolei ma wpływ na to, jak wygląda życie społeczne w sąsiedztwie, w dzielnicy, w mieście, w regionie, w końcu w kraju.

Psychologia i bezpieczeństwo wewnętrzne to tylko pozornie niezwiązane ze sobą dziedziny. – Po ukończeniu naszej uczelni student jest w stanie rozpoznawać potrzeby innych osób i, oczywiście, swoje, a zatem dbać o nie. Żyjemy w świecie pełnym zagrożeń. Jesteśmy zamknięci w swoich małych światach, mamy problem z poznawaniem innych ludzi, nawet sąsiadów. Kiedyś





było nie do pomyślenia, żeby nie znać ludzi, którzy wokół nas żyją, teraz – to codzienność. Chciałabym, żebyśmy jako społeczeństwo umieli się bardziej otworzyć na potrzeby innych osób oraz zapewniać sobie i innym szeroko rozumiane poczucie bezpieczeństwa. Zamiast wykazywać wrogą postawę, próbować poznawać innych ludzi. Zamiast bać się potencjalnych wrogów – oswajając nieoswojone. Być może nasz świat byłby lepszy.

– Idziemy z duchem czasu. Tworząc Wyższą Szkołę Bezpieczeństwa ponad 20 lat temu Rektor wyszedł z założenia, że nurt psychologiczny związany z bezpieczeństwem ściśle się przenikają – tłumaczy pani dziekan. I przyszłość pokazała, że rektor uczelni dr Andrzej Zduniak swoim innowacyjnym podejściem udowodnił, że to prawda.

Praca to pasja

– Nasi studenci mają pracować z pasją i być szczęśliwymi ludźmi, którzy spełniają się zawodowo – mówi Dominika Kot, dziekan Wydziału Nauk Społecznych w Koszalinie. – Ważne, żeby czuli się w zawodowym życiu autentycznie pomocni i potrzebni.

Konkretną specjalność studenci wybierają podczas zapisu na studia, a realizowana zaczyna być na drugim roku studiów. A jest się nad czym zastanawiać – szkoła oferuje 10 specjalności, to m.in. neuropsychologia, psychologia kliniczna, psychologia dzieci i młodzieży, psychologia społeczna oraz niezwykle interesująca psychologia kryminalistyczno-śledcza.

Pierwszy rok – to przedmioty ogólne, wtedy studenci poznają różne nurty i koncepcje psychologiczne. To czas, kiedy

mogą zdecydować, czy w przyszłości chcą być psychologami, czy psychoterapeutami. – Sugerujemy im, żeby nie wybierali tego kierunku, który obecnie jest modny, ale taki, który naprawdę im odpowiada i będą dobrze czuli się w danym obszarze podczas swojej pracy – mówi pani dziekan. Studia magisterskie kontynuować mogą studenci na uczelni w Poznaniu, są to zajęcia hybrydowe.

Odwiedzamy studentów w ich naturalnym środowisku, czyli podczas zajęć. Grupa studentów stacjonarnych jest niewielka, to sprzyja indywidualnemu podejściu i daje możliwość dyskusji. I faktycznie, zainicjowana przez dziekan wymiana zdań rozpoczyna rozmowę, w którą z chęcią angażują się studenci. Tu nie ma mowy o nudnym wykładzie i monotonnym przekazywaniu suchych informacji. Tu muszą być emocje.

Nie tylko gabinet...

Szkoła ma też studia w zakresie bezpieczeństwa wewnętrznego. W ramach tego kierunku oferuje także 10 specjalizacji. Jest służba policyjna, wojskowa i więzienna, ale też kryminalistyka z detektywistyką czy bezpieczeństwo morskie. Ale można również połączyć mundur z psychologią, bo nie jest powiedziane, że psycholog to tylko właściciel prywatnego gabinetu i kozetki. Psychologowie mogą pracować w policji, w wojsku lub w straży granicznej.

Ważne jest, że uczelnia dba o to, żeby po zdobyciu tytułu mieć pracę. – Mamy podpisane porozumienie z Komendą Główną Policji w Warszawie, na mocy którego nasi absolwenci nie muszą realizować wszystkich godzin z zakresu szkolenia



w szkółce policyjnej, nasza szkoła zapewnia im takie przygotowania, które kwalifikuje ich do rozpoczęcia pracy w policji. – Po skończeniu licencjatu u nas w Koszalinie studenci mogą kontynuować naukę na uczelni w Szczytnie (policyjną) lub w Gdańsku w Wyższej Szkole Bezpieczeństwa (bezpieczeństwo wewnętrzne o specjalności morskiej). Zajęcia prowadzone są w systemie hybrydowym i tam też mają zapewnioną profesjonalną kadre specjalistów, którzy prowadzą wykłady – mówi pani dziekan. Psycholog ruchu drogowego – to także dziś przydatne zajęcie.

Kadra i nacisk na praktykę

Jak się okazuje, niektóre uczelnie w kraju borykają się z niedoborem wykładowców. – My mamy kadre psychologów, którzy prowadzą zajęcia praktyczne. To ważne, bo w niektórych uczelniach, niestety, zajęcia prowadzą pedagodzy. Stawiamy przede wszystkim na praktykę. To jest istotne, bo – wie to każdy specjalista – teoria, nawet najlepiej wyłożona – nie zastąpi nam praktyki. Wiem to z własnego doświadczenia; na uczelniach często właśnie tej praktyki jest za mało – mówi pani dziekan.

Sama prowadzi zajęcia z psychometrii (dział psychologii, który zajmuje się teorią i praktyką stosowania testów psychologicznych). Ustala, jakie warunki powinien spełniać dobry test psychologiczny, zajmuje się zarówno tworzeniem samych narzędzi testowych i pozycji, które zawierają, jak i kwestiami związanymi ze zliczaniem i interpretowaniem wyników (za: Elżbieta Hornowska „Testy psychologiczne. Teoria i praktyka”, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2001, s. 20 – dop. red.), twierdzi, że do zgłębienia tej wiedzy praktyka jest niezbędna.

Integracja i działania pozauczelniarne

Obozy integracyjne – to się nie zdarza na każdej uczelni. Ale przecież przyszli psychologowie nade wszystko cenią sobie relacje i kontakt z ludźmi, a i o mundurowych można powiedzieć to samo, świetnie współpracują podczas wypoczynku. – To forma integracji naszych studentów – opowiada Dominika Kot. – Ktoś mógłby się zdziwić, że mundurowi z psychologami mają coś wspólnego, a jednak. Wyjeżdżamy zwykle na tydzień. Czas spędzamy wspólnie ze studentami z innych wydziałów z całej Polski. Studenci mają czas na to, żeby wymienić się doświadczeniami, spostrzeżeniami dotyczącymi nauki i praktyk. Wychodzimy z założenia, że ludzi trzeba łączyć, budować więzi, uspołeczniać, to nasza misja – rzeczywisty kontakt z drugim człowiekiem – tłumaczy pani dziekan.

– Mamy prężnie działający samorząd studencki – chwali się pani dziekan. – W planach jest współdziałanie Samorządu Studenckiego z Państwową Wyższą Szkołą Nauk Stosowanych i ze Strażą Graniczną. Jesteśmy też organizatorem trzeciego Międzynarodowego Kongresu Psychologii Stosowanej. Zrzeszamy psychologów i osoby związane zawodowo z bezpieczeństwem. W tym roku temat dotyczy ogólnie rozumianego dobrostanu człowieka. Cały kongres będzie się odbywał w Toruniu w kwietniu. – Prelegenci mają za zadanie zainteresować swoim tematem słuchaczy w ciągu zaledwie... kwadransa, unikamy długich wykładów, chcemy, żeby było to prawdziwe psychologiczne show oraz aby prelegenci mieli możliwość zaprezentowania ich obszarów zainteresowania w sposób ciekawy. Nawiązujemy relacje, szukamy ludzi o podobnych zainteresowaniach albo – przeciwnie – takich partnerów do dyskusji, którzy mają odmienne zdanie na kontrowersyjny temat. Oprócz tych wartości jest możliwość opublikowania artykułu naukowego, co przydaje się przyszłym doktorantom oraz osobom rozwijającym się w swo-



jej branży. Przyszli magistrowie i licencjaci mają też określone profity z udziału w kongresie – wiąże się to z zaangażowaniem naszych studentów w życie akademickie uczelni, w zależności od indywidualnych zainteresowań studentów – tłumaczy pani dziekan.

Czesne, stypendia

Jeśli mówimy o profitach – szkoła ma cały system zniżek w czesnym i stypendiów. Wychodzimy naprzeciw studentom – podkreśla pani dziekan. – Mamy zniżki dla klas mundurowych, dla nauczycieli i pedagogów także. Dobre wyniki w nauce premiuje stypendium rektora. Płatności możemy rozkładać na raty. Studenci zainteresowani są praktykami, które zapewniają im porozumienia, jakie zawieramy z różnymi instytucjami. Liczba instytucji, z którymi uczelnia podejmuje współpracę, w każdym miesiącu powiększa się. Pani dziekan wraz z działem marketingu rozszerza ofertę współpracy dla studentów, aby zapewnić im ciekawe miejsca do realizowania obowiązkowych godzin praktyk studenckich. Nie pozostawiamy studentów samych z organizacją miejsca, mamy opiekuna praktyk, który odpowiada na potrzeby studentów, jeżeli chodzi o wybór miejsca. Oczywiście, jeśli chcą, mogą takie praktyki organizować sobie sami, ale wtedy w dużej mierze muszą liczyć się z odpłatnością za nie. Te wskazywane przez szkołę są nieodpłatne – mówi pani dziekan.

Jedyna w regionie

Koszty – wiadomo – generują też dojazdy do uczelni albo utrzymanie na stacji. I tu dobra wiadomość dla mieszkańców Koszalina i okolicznych miejscowości. – To jedyna uczelnia w naszym regionie, która oferuje studia niestacjonarne i stacjonarne na kierunku psychologia – podkreśla Dominika Kot. – Do tej pory między Szczecinem a Gdańskiem nie było podobnej. To ważne dla tych, których marzeniem jest studiowanie psychologii, a ogranicza ich odległość oraz wysokie koszty utrzymania w dużych miastach. Nie trzeba już pokonywać wielu kilometrów. Wiedzą to na przykład studenci z Białogardu lub ze Świdwina, także, oczywiście, z Koszalina i z najbliższych miejscowości. Studiowanie pożądaných i opłacalnych kierunków na rynku pracy w Koszalinie jest wreszcie w zasięgu ręki, a zatem jest po prostu tańsze. ■



Nie napiszę już żadnej książki

FB autora

Laureat Paszportu „Polityki”, nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Literackiej „Nike”. Kocha wymyślać, nienawidzi pisać. Łukasz Orbitowski, autor powieści „Inna dusza”, „Chodź ze mną” oraz „Wróg” – najnowsza publikacja, jednocześnie być może ostatnia.

Rozmawiał: Michał J. Chmielewski

Ciężko powiedzieć, o czym jest twoja nowa książka.

– Odpowiem jednym słowem. O miłości. Żyjemy w takich czasach, że o miłości napisano bardzo dużo. Właściwie cała literatura jest o miłości. Prawie wszystkie piosenki są o miłości, filmy są o miłości. Nie ma nic ważniejszego. W związku z tym, żeby

cokolwiek na ten temat powiedzieć, co nie byłoby całkowicie i absolutnie wtórne, artycha musi się strasznie namęczyć i namyślać takiego Nerona, który reinkarnował się w Polsce; poza tym są jeszcze inne reinkarnacje. I coś tam się jeszcze spaliło. I są jakieś kłopoty. I jest dziwny sposób prowadzenia narracji. To wszystko odkupuje mnie jako artystę, bym mógł wypowiedzieć te dwa słowa: Kocham cię.

Pomysł na „Wroga” jest dość karkołomny. Znając twoje poprzednie książki, nie tego się spodziewałem. Planowałeś tę powieść, wpadłeś na pomysł przypadkiem?

– Na to nie ma dobrej odpowiedzi. To nie jest tak, że sobie siedzę i koncypuję, co teraz pokręconego raczę sobie wymyślić. Takie rzeczy po prostu przychodzą do głowy. Żeby w ogóle zrobić coś takiego, postanowiłem, kiedy słuchałem utworu „Ulver”

zespołu Nemoralia, który jest poświęcony Pochodniom Nerona. Wybuchła mi w głowie taka niepokojąca idea, że może jednak on miał rację z tymi chrześcijanami? A może napisać książkę o właśnie tym? Oczywiście, nie zrobiłem tego, bo nikt nigdy nie napisałby książki o tym, że faktycznie jest fajnie palić ludzi żywcem.

Lubisz starożytny Rzym?

– Bardzo. Jedna z niewielu moich fascynacji. Gdy człowiek jest nastolatkiem, przechodzi przez okres kilku tam bardzo prostych fascynacji. Wymienić mogę dinozaury, historię kosmosu i w ogóle kosmologię, III Rzesza, II wojna światowa, wojska napoleońskie, parę takich rzeczy jest. Jako zainteresowany światem nastolatek przerabiałem to wszystko. I między nimi była właśnie historia starożytnego Rzymu, w której się zakochałem i pochłonąłem tak bardzo, jak tylko da radę pochłonąć, i o której oczywiście odszedłem, kiedy zapal ode mnie odstąpił. W ciągu jednego roku przeczytałem wszystko o starożytności, co było do przeczytania. A potem przeszedłem do III Rzeszy albo czegoś innego. Zmieniłem zainteresowania. I ta fascynacja Rzymem wróciła po kilkudziesięciu latach. Ale książki o III Rzeszy nie będę pisał. Ani o dinozaurach (śmiesz).

A masz już plany na następną?

– Nie. Teraz mam doskonałą zabawę, bo wkurzam wszystkich mówiąc, że przestałem pisać książki.

Książki może i owszem, ale widziałem, że przeczuciłeś się na słuchowiska.

– No tak. W tym momencie powstaje właśnie kilka słuchowisk. Zamierzam jeszcze trochę w tym kierunku porobić, bo to wdzięczniejszy i łatwiejszy chleb niż powieściopisarstwo. To się dosyć łatwo pisze i to jest coś, co wychodzi mi z mniejszym wysiłkiem niż pisanie powieści, co jest dla mnie zatrważająco trudne.

Ty podobno w ogólnie nie lubisz pisać.

– Ja nienawidzę pisać. Kocham wymyślać. Najbardziej kocham kreatywny aspekt pracy twórczej, budowanie bohatera, budowanie świata, budowanie fabuły i tego, co fabułę obrasta. Ale potem, kiedy doskonale wiem, co mam napisać, i wiem, jak to zrobić, jakie będzie słowo po słowie, to mi to przypomina kolorowankę. Są dorośli, którzy lubią kolorowanki, ja tego nie lubię. Lubię być twórczy. A tutaj mam kolorowankę, którą sam sobie zaprojektowałem. Założmy, że na tej kolorowance jest Neron i Poppea, patrzą sobie na płonący Rzym. Nie dość, że ich wymyśliłem, to w każdym fragmencie dodałem, w jakim dokładnie to ma być kolorze. Mówiąc szczerze, bardzo czekam na rozwój inteligencji, ponieważ z ogromną radością zajmę się projektowaniem swoich książek, które ona będzie pisać.

A korzystałeś już z Chata GPT?

– Nie. Moi bliscy znajomi korzystali za mnie. Zapytali, by chat stworzył opowiadanie w stylu Łukasza Orbitowskiego. No i jeszcze trochę przed tą technologią jest. Nie potrafi jeszcze emulować żywego człowieka.

Wspomniałeś kiedyś, że czasami twoje konspekty są grubsze od książki.

– To prawda. Nie mam umiaru w konspektach. Przerzucam tam całe artykuły, jakie znajdę w sieci. Skany, dokumenty, zdjęcia, wszystko. Pamiętam, jak pisałem „Chodź ze mną”, to sam konspekt wczytywałem się jakieś dziesięć minut. Zaczynałem pracę i mogłem iść na krótki spacer, nim się wczytały te wszystkie dane.



Ula Durzyńska



FB autora

Podobno napisałeś tę książkę dwa razy.

– Moja redaktorka, Joanna Mika, w długim i bolesnym mailu wykazała, że książka jest kiepska. W konsekwencji czego skasowałem ją i napisałem od nowa.

A kiedy zobaczymy ekranizację „Innej duszy”?

– Niewiele mogę powiedzieć na ten temat. Mam podpisane dokumenty, z których wynika, że jeżeli pozwolę sobie na zdradzenie jakichś detali tej ekranizacji, to zabiją mnie, porwą mi dzieci, ukrzyżują matkę i tak dalej. Film powstaje, tyle mogę powiedzieć. Jak będzie wiadomo coś więcej, produkcja ogłosi.

Prowadzisz zajęcia w więzieniu, czytasz wiersze i rozmawiasz o nich z osadzonymi. Ma to element resocjalizacyjny?

– Czy naprawdę chciałbyś, żeby ktoś taki jak ja resocjalizował kogokolwiek? W tych zajęciach chodzi wyłącznie o to, aby przeczytać wiersz i spędzić tę godzinę na rozmowie o nim, nic więcej tam się nie liczy. Historia jest taka, że pewnego dnia zaproponowano mi możliwość odwiedzania osadzonych, ja to potraktowałem trochę jako przygodę, niesłusznie, bo wychodziło, że będę miał doświadczenie kosztem cudzego nieszczęścia. I to doświadczenie przerodziło się w misję, w potrzebę przebywania z tymi ludźmi.

Z drugiej strony mówisz, że ludzie nie da się zresocjalizować.

– Ale ja ich nie próbuję naprawiać. Ja im chcę dać coś, czego nie może dać nikt inny, ponieważ rzadko zdarza się, by mogli porozmawiać z kimś, kto potrafi mówić zdaniem złożonym, i jednocześnie wyglądać tak jak ja. Co okazało się kluczem do otwarcia serc tych ludzi.

Jak oni na to reagują?

– Odzew nie mógł być lepszy. Wiadomo, że warunki więzienne nie zawsze pozwalają na tego typu spotkania. Ale ci ludzie

chcą brać w tym udział, i co najważniejsze – te rozmowy bardzo często odbiegają od tekstu poetyckiego. Gadamy o życiu, o nas, o tym jak nam jest. Podstawą jest zawsze wiersz. I to jest jedna sprawa. Druga jest taka, że ci ludzie wiodą dosyć przyziemne życie, rzeczywistość więzienna jest bardzo siermiężna. Określają ją ludzie najgorsi, że tak się wyrażę, ponieważ jeżeli mamy pod celą profesora i analfabetę, to życie będzie się tam toczyć, jak chce analfabeta. Wszyscy chcą być jakoś zrozumiani. Analfabeta nie zrozumie profesora, ale profesor zrozumie analfabetę. I co dla mnie bardzo ważne – ja to mówię bez oceniania. Mówię to ze swojego doświadczenia. Te zajęcia są w jakimś stopniu przeżyciem intelektualnym, stanowią odskocznik od tej prząsności, od tego gadania o niczym i o tym, że znowu są pluskwy w łóżku.

Zajmujesz się nie tylko pisaniem. Prowadziłeś autorski program „Dezerterzy”, na antenie TVN pływałeś w Bałtyku, zdarzyła ci się też mała rola w filmie...

– Tak. „Zdarzyła się” – to właściwe określenie. Łatwiej nagrać człowieka takiego jak ja do prostej roli, niż przetrenować aktora, żeby zyskał określone atrybuty fizyczne i określone zdolności w zakresie ruchu. W związku z tym ja funkcjonuję trochę jak dziwoląg, wytatuowany wielki facet. Czasem się taki przydaje.

Grasz na jakimś instrumencie muzycznym?

– Nie. Jestem kompletnie pozbawiony muzycznego słuchu.

A mówisz w mediach, że pracujesz nad płytą.

– (śmiech) Prawdę powiedziałem. Jest taki wspaniały człowiek, nazywa się Stefan Zagłowski, wykonuje muzykę z pogranicza, powiedzmy, ambientu. Utwory, które mi podesłał, kojarzą mi się z wilgotną, ciemną jaskinią, gdzie na gnijące zwłoki skapuje woda. Pewnego razu, dla jakiegoś festiwalu, Stefan zaproponował, żebyśmy wystąpili razem. W sensie: ja będę czytał teksty literackie, a on do tego będzie „dolewał” dźwięki. Czy też ja „doleję” słowa do jego muzyki. Festiwal, oczywiście, nie wypalił, ale padło hasło: to róbmy płytę. Przypomniałem mu, że jestem głuchy jak pień, co najwyżej potrafię zanucić „Włazi kotek na płotek”, ale mogę, operując głosem, coś przeczytać, recytować. Stefan powiedział „dobrze”. Dostałem od niego całkiem gotową płytę. W sensie, że cały materiał muzyczny był już zrobiony. Z jednej strony fajnie: facet nagrał płytę i ci przysłał. I teraz ja zajmuję się tą płytą. Będę słuchał materiału, zastanawiał się, jak tam wejść z głosem. Przypominam: nie jestem wokalistą, nie znam się. Można deklamować, można mówić na różne sposoby, ale przede wszystkim muszę znaleźć jakąś koncepcję na teksty, bo nie chcę, żeby były to opowiadania. Napisałem ich dużo. Chcę napisać teksty, normalne teksty do muzyki, sześć kawałków, każdy o czymś innym, ale ze wspólną koncepcją, jakąś drogą. Tym się będę zajmował, potem wejdziemy do studia, Stefan pojmie, że nawet recytacja mi źle wychodzi, będzie mnie niszczył i ochrzaniał. Wypuścimy to na kompakcie, na winylu, na Spotify. Oczywiście, nie śmiem zakładać, że cokolwiek z tego będzie, że album ten będzie szeroko słuchany. Mam tylko nadzieję, że muzyka się komuś spodoba, bo jest piękna. Stefan skomponował naprawdę piękną, przepiękną muzykę. Mam nadzieję temu dorównać od strony literackiej. Wrzucimy to na Spotify i każdy sobie tego posłucha.

A jeśli odzew wymusi organizację trasy koncertowej? Śpiewanie na żywo?

– W ogóle się z tym nie liczę. To jest niemożliwe, poza zasięgiem wyobrażeń. Tego typu muzyka nie jest jakoś bardzo popularna. Nie pamiętam w Polsce wielkich triumfów ambientu. Jeżeli będzie potrzeba, to zagramy jakieś koncerty, nie mam problemu



Ula Dziurzyńska

z publicznymi wystąpieniami. To byłaby fajna przygoda. Natomiast chciałbym, żeby to dobrze wybrzmiało: ja się nie przebranżawiam. Jeszcze jedna ważna rzecz: Stefana znam, ponieważ nasi rodzice się przyjaźnili, oczywiście w zdrowym znaczeniu (śmiech). Myśmy się poznali na jakimś tam plenerze jako dzieci, potem kontakt przepadł, potem Stefan zadbał o odnowienie tego kontaktu, czego efektem jest ta płyta, więc ta robota nie jest z kimś przypadkowym. Wiem, że pewne rzeczy ciągną się w naszym życiu nie bez powodu. Niektóre znajomości się kończą, bo nie było w nich wystarczającego ludzkiego kapitału, a inne trwają, bo korzystamy z wspólnej drogi. I tak było ze Stefanem.

Ludzki kapitał, nie przeznaczenie?

– Nie. Mówię o tym, że pojawił się w moim życiu facet wykonujący muzykę ambient, człowiek, który jako dzieciak marzył o założeniu zespołu, ale nie miał do tego talentu. Facet od ambientu szukał słów i głosu dla swojej muzyki; okazało się, że on ma dla mnie muzykę, a ja mogę mieć dla niego głos.

Wróćmy do pisania. Średnio wydajesz książkę na dwa lata. Nie mógłbyś tego przyspieszyć?

– Nie da rady. Na chwilę obecną wiem, że za dwa lata nie będzie żadnej książki, ponieważ tak zakłada mój rytm pracy. Przez pierwsze pół roku wymyślam książkę, kolejne pół roku robię konspekt, pół roku ją piszę i następne pół poprawiam. Potem ją wydaję i promuję. I tak naprawdę w momencie, kiedy kończę ją promować, powinienem mieć w głowie następną. A teraz tego nie mam i jeszcze długo mieć nie będę, chociażby dlatego, że pracuję nad płytą dla Stefana. Całkiem możliwe, że nie napiszę już żadnej książki.

Smutne trochę.

– Też się z tego nie cieszę.

W jednym z felietonów piszesz, że boisz się bardzo wielu rzeczy.

– Tak, to prawda. Boję się starości, śmierci, biedy, niezrozumienia, samotności, braku miłości, odrzucenia, masy rzeczy. Jestem wręcz owładnięty lękiem. Ale czy mam pozwolić, żeby mnie to pokonało, ścisnęło? No, chyba raczej nie. Póki mam siłę i wolę życia, będę trwał w tym głupim uporze. Nie jestem miękką kluchą. To że się czegoś boję, nie znaczy, że okazuję strach.

A co Łukaszowi Orbitowskiemu przynosi radość?

– Miłość. Ludzie. ■



LUIS SZUKA DOMU



Śliczny i przyjazny Luis o zawadiackim uśmiechu, szuka swojego człowieka na resztę życia.

Z wyglądu przypomina Australian Cattle Dog o polskich korzeniach. Swoje dotychczasowe życie spędził za kratami, ale nie daje tego po sobie poznać. Zachowuje czystość.

Luis jest ok 3 letnim psem. Waży ok 25 kg. Jest psem przyjacielskim, energicznym, z bardzo pozytywnym temperamentem.

Dobrze reaguje na inne psy i na konie. W domu zachowuje czystość, nie ma tendencji do niszczenia. Może zamieszkać ze starszymi dziećmi.

Luis jest wykastrowany, ma komplet szczepień. Przebywa w hoteliku dla psów w okolicach Koszalina.

Mamy czas do końca Marca, żeby znaleźć Luisowi dom - inaczej wróci do schorniska.

608-014-011

518-693-658

Fonoteka, czyli podróż w czasie

Fonoteka Koszalińskiej Biblioteki Publicznej to niesamowite miejsce. Świetnie czuć w niej ducha epoki, w której święciła tryumfy. Barbara Wysmyk, kierowniczka Działu Promocji, wprowadza mnie do pomieszczenia, w którym muzyka królowała od rana do wieczora. Nie mogę wyjść z podziwu. Przyglądam się niezwykłemu muralowi, przypominającemu mi miękkie, płynące dźwięki. W tym czasie Barbara otwiera szafy. Moim oczom ukazują się niezliczone ilości płyt winylowych. Siadam w wygodnym skórzanym fotelu. Rozglądam się. To doskonały moment na opowieść o historii tego unikatowego miejsca. W jego świat oprócz Barbary wprowadza mnie Małgorzata Weiss, kierowniczka Mediateki, która z tym miejscem związana jest od ponad 40 lat.

Tekst: Justyna Horków
Zdjęcia: Magda Pater

– Pierwotnie fonoteka znajdowała się na tym samym poziomie, co pomieszczenia biblioteczne. Zenon Jonca, ówczesny dyrektor ówczesnej biblioteki, widząc, że stanowisk jest za mało, a zainteresowanie osłuchiwaniami płyt szybko rośnie, postanowił ją powiększyć. W 1983 r. rozpoczął się remont generalny. Na fonotekę przeznaczono pomieszczenia piwniczne. Zrobiono też podkopy pod okna, żeby wpuścić tutaj naturalne światło. W roku 1987 fonoteka została oddana do użytku w takiej formie, jaką teraz widzisz. Mogę śmiało powiedzieć, że były to działania wizjonerskie. To pomieszczenie było unikatowe pod względem technologicznym, a sama fonoteka była drugą w Polsce. Na całym Pomorzu nikt nie chciał się podjąć wykonania systemu odsłuchu elektronicznego. Wykonała go firma z Wrocławia – opowiada Małgorzata Weiss. – Architektem, który zaprojektował to pomieszczenie, był Marian Dąbrowski. Jest on również autorem oryginalnych murali, które zostały namalowane w latach 80. Do dzisiaj zachowały się jego szkice z wizualizacją tej całej przestrzeni. Na tym poziomie odbywał się odsłuch płyt winylowych. Pod podłogą mamy przewody elektryczne, do których podłączony jest każdy fotel. Oczywiście na tę chwilę system już nie działa, ponieważ technologicznie nie jest to możliwe – dodaje Barbara Wysmyk. Otwieram umieszczoną w fotelu szufladkę i moim oczom ukazuje się „punkt sterowania”. Kie-

dy użytkownik siadał w fotelu, mógł ustalać różne parametry odsłuchu płyty, jak na przykład wysokie czy niskie tony. Mógł także wywołać operatora, czyli połączyć się z bibliotekarzem.

18 gramofonów i 18 słuchaczy

Małgorzata Weiss wskazuje na kabinę dźwiękową – sterownię. Mówi, żeby wyobraziła sobie, że to pomieszczenie pamięta czasy, w których kręciło się 18 gramofonów. W samym środku muzycznego rozgardiaszu znajdowała się właśnie ona. Niczym kapitan sterowała różnorodnymi konfiguracjami. – 18 na 18 to była magia. 18 stanowisk, do których były przypisane magnetofony, gramofony, a później odtwarzacze płyt CD. Można tu było tworzyć rozmaite kombinacje. Te 18 osób mogło słuchać czegoś innego lub tego samego. Każdy fotel to było indywidualne zamówienie. Przychodził słuchacz, wybierał sobie płytę, musiał wypełnić minirewers i z kartą biblioteczną podchodził do okienka. Wydawałam mu słuchawki i wskazywałam konkretny fotel. Siedziałam w trzaskach gramofonów i wszystkiego słuchałam. Na przykład ktoś do mnie krzychał, że trzeci utwór się zaczyna, więc musiałam igłę przestawić na czwarty – wspomina. Małgorzata przypomina, że kiedyś nie było takiej dostępności, jaką mamy teraz. Bez internetu i aplikacji trudniej było tworzyć muzyczne kolekcje i przechowywać wielkie zbiory w domu. – W tamtych czasach mało kogo było stać na to, żeby kupić całą historię muzyki. Było to wręcz nierealne. A przecież są osoby,

którym ta historia jest bardzo potrzebna. Na przykład przed maturami w szkole muzycznej uczniowie przychodzili do nas z listą, na której znajdowało się około setki utworów do odsłuchania. Musiałyśmy się do tego odpowiednio przygotować i potem miałyśmy tu istny 1,5-miesięczny maraton. Przychodzili także filharmonicy, bo dla nich

wysłuchanie utworów w innej interpretacji też było ważne, chociażby dla rozwoju. – dodaje Małgorzata.

Muzyczne horyzonty od... marynarzy

Fonoteka swoją magię zawdzięcza także temu, że jest miejscem kameralnym. Kiedy siedzę w wielkim fotelu, dociera do mnie, że zupełnie nie słyszę gwarne go życia biblioteki. To miejsce jest odizolowane od świata zewnętrznego i to sprawia, że nie czuję się tak, jakbym była na widelcu. Ta intymność jest doskonała do słuchania muzyki. 40 lat temu to było popularne miejsce wielu spotkań, a nawet randek. Same zbiory muzyczne także są unikatowe. Należy wspomnieć, że w krajach socjalistycznych klasyka była lubiana, za to „zgniła imperialistyczna” amerykańska muzyka rozrywkowa w latach 80. nie była u nas

Każdy się nią zachwyca. Tak było w przypadku Grzegorza Piątka i Filipa Springera. Fonoteka zauroczyła Olę Drendę i Jacka Dehnela. To miejsce zabytkowe i powinniśmy je ocalić.



wydawana. W fonotece sprytnie udało się zgromadzić i takie zasoby, które poszerzały muzyczne horyzonty. – Istnieje taki zapis, że zbiory bezcenne, antykwaryczne można kupować od osób prywatnych. W tamtych czasach przychodzili do nas marynarze, którzy mogli różne płyty zakupić za granicą. Sporo osób dostawało też paczki ze Stanów Zjednoczonych. Często w nich znajdowały się płyty gramofonowe. Ludzie te płyty przynosili do nas, a my podpisywaliśmy z nimi umowy i je kupowaliśmy. Nie było szkoda żadnej złotówki wydanej na ten cel – tłumaczy Małgorzata Weiss. Podaje mi pierwsze wydanie „The Wall” Pink Floyd z 1979 r. Kiedy trzymam w rękach „In the Court of the Crimson King” King Crimson czuję, że przechodzi mnie



gęsia skórka. To właśnie w koszalińskiej fonotece siedział Cezary Łazarewicz, a potem chwalił się kolegom, że słuchał „Never Mind the Bollocks” Sex Pistols. – Część tych płyt jest wprowadzona do zbiorów i można z nich skorzystać na miejscu, ale nie można ich wypożyczać do domu. Są to po prostu białe kruki i koszt takiej płyty jest niewspółmierny do tego, gdyby ktoś ją na przykład zgubił – dodaje Barbara Wysmyk. Przychodzili tutaj także dziennikarze muzyczni, aby podeprzeć swoje audycje zbiorami z Fonoteki. Bibliotekarze nagrywali utwory na kasety magnetofonowe za odpłatnością. Użytkownicy musieli podpisać specjalne oświadczenia, a biblioteka z tego tytułu odprowadzała podatek do ZAIKSU. – Opracowałyśmy także oryginalny katalog, który był dopasowany do wypożyczających. W tamtych czasach Biblioteka Narodowa opracowywała takie zbiory, czyli nadawała tytuły. Ale jeszcze trzeba było wiedzieć, co się znajduje na danej płycie. Do stworzenia tych swoistych katalogów zmusiła nas sytuacja, bo często przychodzili tu ludzie i nam nucili różne melodie. A potem mówili: no, wie pani, o co mi chodzi. Więc szybko nauczyłam się tu sporo o muzyce. Dlatego wiem, że czasem w języku potocznym funkcjonują utwory, które nazywają się zupełnie inaczej – tłumaczy Małgorzata Weiss.

Kapsuła czasu, którą trzeba ocalić

– To miejsce jest wyjątkowe. Nie tylko z powodu samych zbiorów, ale również jeśli chodzi o design. Takich miejsc już w Polsce nie ma. Również w samym Koszalinie mamy mało

przestrzeni unikatowych. To jest absolutnie niespotykana kapsuła czasu, ponieważ fonoteka przetrwała tyle lat w niezmięnionej formie. Kiedy oprowadzamy po niej gości, każdy się nią zachwycą. Tak było chociażby w przypadku zajmujących się architekturą Grzegorza Piątka lub Filipa Springera. Fonoteka zauroczyła także Olgę Drendę i Jacka Dehnela. Również wspomniany wcześniej system technologiczny był zupełnie innowacyjny. Moim zdaniem to miejsce jest już w pewnym sensie zabytkowe i powinniśmy je ocalić – opowiada Barbara Wysmyk. Dodaje, że zainteresowała się tym miejscem także ze względu na własne upodobania do wzornictwa z tego okresu. Dwukrotnie składała także wniosek o jego renowację w ramach Koszalińskiego Budżetu Obywatelskiego. – W tym projekcie chcieliśmy zachować jak najwięcej z przestrzeni oryginalnej i charakteru tego miejsca: fotele, boazerie, kryształowe kinkiety oraz odnowić mural. Chcieliśmy zmienić zastosowanie pomieszczenia i zrobić tutaj wypożyczalnię gier i miejsce do gry na konsolach. Jednak podsumowując i wchodząc głębiej w historię tego miejsca, to gdybym teraz pisała kolejny wniosek, skupiłabym się na przywróceniu fonotece jej pierwotnej funkcji, czyli słuchania muzyki. Tym bardziej że teraz

winyłe wracają do łask. Oczywiście, należałoby naprawić całą elektrykę i poprawić stan techniczny. W obecnych warunkach pomieszczenie jest również niedostępne dla osób z niepełnosprawnościami, co budzi moje wątpliwości ze strony etycznej. Wprawdzie można by zrobić wejście przez garaż lub dodać windę, ale wymagałoby to remontu. Zmiana klatki schodowej całkowicie zaburzyłaby wzornictwo tego pomieszczenia. To są nasze dylematy, choć największym problemem są jak zawsze pieniądze. Taki remont wymagałby dużego nakładu pieniędzy, szacuję że potrzebowalibyśmy około dwóch milionów złotych. Ze swojej strony mogę tylko o pieniądze apelować. Nie chciałabym, żebyśmy stracili taką perełkę. Tym bardziej że na Nocach w Bibliotece, kiedy oprowadzamy po niej uczestników, niektórzy nie wiedzą, że istniało i istnieje w Koszalinie takie miejsce – opowiada Barbara Wysmyk.

To już koniec wspomnień i muzycznych opowieści. Wstaję z fotela, ostatni raz zerkam na kolorowy mural i wychodzę. Rozmyślałam o tych wszystkich emocjach, wspomnieniach i różnych chwilach, jakich świadkiem była fonoteka. Jej boazerie nasiąknięte są historią, którą czuć ją w powietrzu. Oby, jak śpiewał Marek Grechuta, udało się ją ocalić od zapomnienia. ■





Elba Zai – tam, gdzie rodzi się energia

Improwizacja, zabawa dźwiękiem i tworzenie wyjątkowej energii – to znak rozpoznawczy koszalińskiego składu Elba Zai. Wszystko zaczęło się od Elby, czyli Izabeli Bobrowicz, która stworzyła swoje artystyczne alter ego. Jak sama wspomina – na początku panował chaos. Pisała do szuflady, rozwijała umiejętności songwriterskie, brała udział w warsztatach i czerpała inspirację z różnych gatunków muzycznych. Przełom nastąpił w 2023 roku, gdy do projektu dołączyła Monika Reiske. Wtedy wszystko nabrało tempa – Elba miała już określony styl i wizję muzyczną, podczas gdy Monika wciąż poszukiwała własnej drogi, mimo imponującego doświadczenia wokalnego. Teraz nie ma wątpliwości – to, co wspólnie tworzą, idealnie odzwierciedla ich muzyczne dusze. Najmocniejszą stroną zespołu są występy na żywo, co wielokrotnie udowodnili podczas jam sessions. Niebawem zaprezentują koszalińskiej publiczności pełnowymiarowy autorski materiał, nad którym pracują od dłuższego czasu. Elba Zai zobaczymy już 28 lutego w ramach „Sceny Młodych” w Centrum Kultury 105!

Tekst: Magdalena Wojtaszek
Zdjęcia: Katarzyna Kodura

Pokrewieństwo dusz

Wszystko zaczęło się od spontanicznego spotkania i energii, która połączyła dziewczyny podczas jam session w 2023 roku. Zaśpiewały wtedy piosenkę „A to my”. Muzyczna improwizacja Elby i Moniki sprawiła, że od razu poczuły wspólną wizję. Jednak to, co miało być ich przypadkowym spotkaniem, przerodziło się w coś głębszego. Z czasem dołączyło do nich także czterech zdolnych muzyków – Kacper Krężolek, Daniel Pijanowski, Wojciech Wołkanowski oraz Hubert Banasiak. To oni tworzą projekt Elba Zai. Zespół składa się z różnych osobowości i doświadczeń, ale łączy ich wspólna pasja do muzyki. Dziewczyny podkreślają, że ta różnorodność w zespole jest kluczowa dla ich twórczości. –

My nie uznajemy przypadków, wiemy, że tak miało być. Po prostu nasze drogi musiały się złączyć właśnie w tym czasie – mówi Elba. – Skład, w którym teraz tworzymy, jest bardzo zgrany, co pozwoliło nam w ostatnich miesiącach stworzyć sporo nowych numerów. Wszystko jest na właściwej drodze – dodaje.

Dla obydwu artystek proces twórczy stał się również sposobem na odkrywanie siebie i swoich emocji. To, co w ich muzyce jest najpiękniejsze, to autentyczność i odwaga w wyrażaniu swoich przeżyć. Wspólnie starają się nie tylko tworzyć muzykę, ale także uczyć się siebie nawzajem. – Od dawna miałam takie przeświadczenie, że jesteś tym, co wybierasz, że przyciągasz to, co dajesz. Od kiedy zaczęłam pragnąć spokoju sama się stałam spokojniejsza. Myślę, że tego trzeba chcieć. Uświadomiła mi to

moja terapia, wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Nie oczekuj spokojnego życia, jeśli poszukujesz wrażeń. Ta filozofia ma naprawdę bardzo dużo sensu – mówi Monika. – Przestałam bać się zmian i otwieram się na nowe sytuacje – tego uczę się od Moni, która ma intensywną energię i dużo wewnętrznego ognia – podkreśla Elba. – Iza daje mi przestrzeń do rozwoju. Mam totalny luz w zespole, czuję bezpieczeństwo i zaufanie do tego, co tworzymy. To jest coś, czego mi brakowało w pozostałych zespołach. Zawsze współpracowałam z mężczyznami, bo wydawało mi się, że tak wolę, a teraz jest inaczej, więc chyba trzeba było trafić po prostu na odpowiednią osobę, a płeć nie ma tu żadnego znaczenia. W ogóle uważam, że mam w swoim życiu kilka napotkanych kobiet, które mnie zupełnie zmieniły i Elba jest jedną z nich. Ukształtowały we mnie to, kim chcę być. Teraz mogę śmiało stwierdzić, że jestem na właściwej drodze. Dobrze się dzieje w mojej głowie i poza nią. Od Elby uczę się przede wszystkim sztuki – opowiada Monika.

Siła zespołu

Elba Zai to zespół, który nie boi się wchodzić na nowe ścieżki, łącząc różne style muzyczne i emocje. W ich twórczości znajdziemy bluesowo-rockowe inspiracje, etno, folk, afro, r&b, soul i wiele, wiele innych gatunków. Ich pierwszy singiel to „W pozytywnej wibracji”. Do tej pory powstało łącznie 10 piosenek. Ich treści dotyczą w dużej mierze przeżyć Elby, jej refleksji nad człowieczeństwem, opowiadają o poszukiwaniu siebie. Autorce zależy, żeby jej muzyka miała głębsze znaczenie, by poruszała słuchaczy, ale też pozwalała jej samej wyrazić siebie.

– Pisanie tekstów jest dla mnie procesem naturalnym, płynnym. Nie czekam na wene, słowa są we mnie i w trakcie prób, kiedy słyszę improwizacje zespołu, opowiadam treścią i melodią o tym, co aktualnie we mnie, i tak rodzą się tematy treści. Później to tylko rozwijam, kiedy forma utworu zostaje przez nas wspólnie ustalona – opowiada Elba.

– Ja mam jeszcze problem z układaniem słów w teksty, ale mówię jeszcze, bo wiem, że zacznę. To jest kwestia dojrzałości.

Naszym marzeniem jest mieć grono odbiorców, którzy rozumieją, o czym śpiewamy. Chcemy, żeby nasza muzyka trafiała do osób, które będą z nami na dłużej.

Niektórzy artyści w młodym wieku są gotowi, by pisać i super. Ja czuję wewnętrznie, że przyjdzie na to czas i jestem na dobrej drodze do takiego rozwoju. Czasem przychodzą do mnie fragmenty tekstów i to są tak ulotne momenty, że trzeba umieć je złapać, zapamiętać, spisać. Na dziś ważne dla mnie, że utożsamiam się z twórczością Elby i możemy razem przekazać coś wartościowego – mówi Monika.

Pytając dziewczyny o ranking ich trzech ulubionych autorów utworów wskazały jednogłośnie – „Własny pokój”.

– Piosenka zyskała szczególne znaczenie, ponieważ powstała w wyniku improwizacji i zapoczątkowała nowy sposób pracy zespołu – mówi Elba.

– Jest to na pewno dla mnie jeden z najważniejszych numerów Elba Zai. Myślę, że na długo pozostanie w moim sercu, do dzisiaj przeżywam go podczas wykonywania. Ta piosenka powstała w takim dosyć kryzysowym dla nas momencie, gdy zastanawialiśmy się, czy to wszystko ma sens, ale nasz producent zjednoczył nas na nowo i to było niesamowite uczucie – opowiadała Monika. Wyciągnął nas z zimowego snu, letargu – dodaje. Kolejny utwór również

wspólnie wybrany – „Na chwilę”. Piosenka zyskała uznanie podczas 43. Ogólnopolskiego Spotkania Młodych Autorów i Kompozytorów Piosenki „SMAK” im. Jonasza Kofty w Myśliborzu. Zespół właśnie tym utworem zdobył Dębowy Szczebel do Karier. – Był on naszym utworem konkursowym w momencie, gdy graliśmy całym składem dosyć krótko. Mogliśmy sprawdzić się w profesjonalnym gronie i zweryfikować to, co tworzymy. Udało się zdobyć Dębowy Szczebel do Karier, czyli drugie miejsce spośród 22 zgłoszonych, muzycznych projektów. Usłyszeliśmy, że mamy świetną piosenkę i energię – tłumaczyła z uśmiechem na twarzy Elba. – „Na chwilę” to nasza bardzo energetyczna odsłona. Od razu utożsamiałam się z jej tekstem, bo zawsze uważałam, że jesteśmy w czyimś życiu tylko na chwilę. Może być ona dłuższa, krótsza... Ale każda znajomość niesie ze sobą coś więcej. Warto też czasami w porę odpuścić sobie pewne osoby i iść dalej, bo nigdy nie wiemy, dla kogo zrobimy w ten sposób





miejsce. Dodatkowo ten utwór powstał w moje urodziny, więc mam do niego ogromny sentyment – dodaje Monika.

Na trzecim miejscu dziewczyny wybrały równolegle dwie piosenki – „Połączenie” i „Zrzucam zbroję”. Iza i Monika podkreślają, jak ważna jest dla nich wzajemna współpraca i wsparcie. Relacja, która łączy je w pracy nad projektem, daje przestrzeń do rozwoju i do pełnego wyrażenia siebie. Monika zauważa, że współpraca z Izą daje jej poczucie bezpieczeństwa i zaufania.

– To pierwszy zespół, w którym czuję, że rozwijam się na własnych zasadach i w zgodzie ze sobą. Z Elbą jest mi łatwiej, to kliknęło, po prostu czuję, że mam przestrzeń na realizowanie swoich pomysłów – mówi Monika. – Ważne jest to, że w tym zespole czuję się naprawdę autentyczna, czuję, że moje pomysły są ważne. To zaufanie, które Monika mi daje, sprawia, że mogę się otworzyć i w pełni oddać twórczości – dodaje Iza.

Stawianie na autentyczność

Choć Elba Zai ma wiele marzeń związanych z muzyką, obydwie artystki starają się podchodzić do życia bez nadmiernych oczekiwań. Ich celem nie jest zdobywanie wielkich scen, ale budowanie autentycznej, wiernej publiczności, która doceni ich muzykę.

– Naszym marzeniem jest mieć grono odbiorców, którzy rozumieją, o czym śpiewamy. Chcemy, żeby nasza muzyka trafiała do osób, które będą z nami na dłużej – mówi Monika. Póki co, marzymy o tym, żeby nagrać kolejne utwory w profesjonalnym studio – dodaje Iza. Mimo że na razie nie stać ich na realizację tego marzenia w pełni, nie tracą nadziei. Zespół wierzy, że z czasem znajdzie odpowiednie środki, by spełnić muzyczne wyobrażenia. – Życie to sinusoida, czasami jest lepiej, czasami gorzej. Ale na ten moment jest dobrze i cieszymy się z tego, co mamy – podsumowuje Monika.

Nowy singiel

Muzyka Elba Zai jest pełna emocji i refleksji nad życiem i osobistymi przełomami. Jednym z tematów, który przewija się w ich twórczości, jest gotowość na zmiany. Opowiada o tym najnowszy utwór pt. „Zmieniam stan”, jego przekaz jest jasny – zmiana nie musi być czymś złym, czymś, czego należy się obawiać, wręcz przeciwnie, może być początkiem czegoś nowego, co pozwoli na dalszy rozwój.

– Piosenka mówi o gotowości na zmiany, o tym, że z lęku przed zmianami przeszłam do fazy, gdzie nie boję się tego, że coś się zmieni i nagle pójde inną drogą – tłumaczy Elba. O ile zmiana jest spójna z moimi wartościami, nic złego się nie stanie. Nadal będę żyła w zgodzie ze sobą – dodaje Monika.

„Scena Młodych CK105”

Cykl koncertów „Scena Młodych CK105” to okazja zarówno dla solistów, jak i zespołów na zaprezentowanie twórczości. Koszalińscy muzycy mogą zagrać na scenie Clubu 105 z profesjonalnym nagłośnieniem i oświetleniem. Od listopada odbyły się już trzy takie wydarzenia. Wystąpili: Staś Kropka x Connor, Czerwona Planeta oraz Dżamani. A już 28 lutego czas na Elba Zai. Będzie to ich pierwszy pełnowymiarowy koncert, co ważne, premierowy dla koszalińskiej publiczności.

– Zaprezentujemy 10 piosenek. Przygotowane aranżacje są dość długie, a ponieważ repertuar nie jest jeszcze szerzej znany, to planuję małą zapowiedzią wprowadzić publiczność w klimat części utworów. Niewykluczone, że jeśli otrzymamy dobrą energię z drugiej strony, poddamy się improwizacji. Jednak musi zajść wymiana energetyczna, wtedy sobie na to pozwolimy – podkreśla Elba.

– Inicjatywa jest super, już dawno czekaliśmy, żeby wystąpić w Koszalinie. Myślę, że wydarzenie może przyciągnąć szerszą publikę. Na pewno przyjdą nasi stali słuchacze, znajomi, bliscy, ale liczymy też na nowych odbiorców. Do tej pory nie graliśmy jeszcze w naszym rodzinnym mieście, a gdzieś dookoła – opowiadała Monika. – Jesteśmy już w zasadzie gotowi na to spotkanie. Chcemy, żeby było dużo magii – dodaje. Ich występy na żywo nabierają wyjątkowego charakteru, a wszystko to dzięki dbałości o każdy nawet najmniejszy szczegół. Zespół Elba Zai to połączenie pasji do muzyki, gotowości na zmiany i wzajemnego wsparcia. Dziewczyny podkreślają, że najważniejsze jest to, by muzyka była autentyczna i pełna emocji.

– Dalej kombinujemy, eksperymentujemy i bawimy się tym – podkreślają dziewczyny.

Ich twórczość opiera się na współpracy, wzajemnym zaufaniu i chęci tworzenia czegoś, co ma prawdziwy sens. Cieszą się z tego, co udało im się osiągnąć, a ich podróż muzyczna dopiero się zaczyna. ■

Sztuka może zmieniać świat

Czasami życie prowadzi nas drogami, których się nie spodziewamy. Czasem też pozwala nam wrócić do tego, co było dla nas najważniejsze, ale zostało zapomniane czy porzucone. Tak właśnie stało się z Esterą Parysz-Mroczkowską – artystką, której talent i wrażliwość poruszają serca ludzi na całym świecie.

Tekst: Monika Kwaśniewska
Zdjęcia: archiwum prywatne

Urodziła się w malowniczych Bieszczadach, w rodzinie artystów. Jej matka jest konserwatorką zabytków, ojciec zaś był rzeźbiarzem szkła do wielu znanych filmów, nagradzanym na międzynarodowych konkursach. Wydawałoby się, że artystyczna droga, zdeterminowana tradycją rodzinną, była dla niej oczywista. Jednak młoda Estera, choć obdarzona talentem, postanowiła podążać inną drogą w życiu. Wybrała pracę w sektorze finansowym, a malowanie stało się jedynie odległym wspomnieniem i zaniechaną pasją. Przez ponad 20 lat nie miała w ręce pędzla. Szkoła plastyczna, w której początkowo się kształciła, bardziej ją zniechęciła niż zainspirowała. Nie chciała tworzyć według narzuconych schematów i ram, jakie formują artystę, nierzadko zabijając w nim indywidualną ekspresję artystyczną i postrzeganie świata. I tak życie Estery upływało, a pasja pozostała uśpiona. Do czasu.



Przypadek, który zmienił wszystko

Czasem los daje nam znaki. Dla Estery takim momentem były jej 40. urodziny. Mąż podarował jej sztalugę, pędzle i farby. Wtedy coś w niej pękło, coś się obudziło. To, co wydawało się zamkniętym rozdziałem, stało się początkiem nowej historii. – Nie ma przypadków – mówi dziś artystka. – Wszystko dzieje się z ważnych dla nas powodów. Musiałam dojrzeć, zdobyć doświadczenie, by wrócić do sztuki w pełni świadomie. Jej pierwsze obrazy powstawały intuicyjnie. Nie miała akademickiego przygotowania, nie znała technicznych tajników malarstwa. Ale czuła, całym sercem i duszą, że pragnie przekazać światu coś wartościowego. W jej twórczości od czasu, gdy zaczęła być świadoma swojej drogi artystycznej, dominowały mocne, symboliczne obrazy – skłaniające do refleksji, poruszające tematy nierówności społecznych, problemów współczesnego świata i ludzkiego cierpienia.



Sztuka, która nie pozwala przejść obojętnie

Jej styl jest wyjątkowy – postaci na obrazach mają wielkie, przenikliwe oczy, mówiące więcej niż same słowa. Jej twórczość łączy w sobie elementy surrealizmu, symbolizmu i wizji science-fiction. Inspiruje się zarówno teoriami spiskowymi, kosmologią, jak i codziennym życiem. W jej obrazach widać wpływy klasyków malarstwa, którzy nie bali się zadawać trudnych pytań. Nie minęło wiele czasu, a jej dzieła zostały zauważone i zaczęły zdobywać uznanie krytyków i zwyczajnych odbiorców. W ciągu kilku lat Estera Parysz-Mroczkowska stała się międzynarodową artystką, docenianą na prestiżowych wystawach i konkursach. Jej obrazy były prezentowane w Paryżu, w Nowym Jorku, w Rzymie, w Mediolanie i w wielu innych miejscach na świecie. Otrzymała nagrody takie jak Międzynarodowa Nagroda Caravaggio w Mediolanie, Nagroda Botticellego we Florencji czy prestiżowe wyróżnienie w paryskim Luwrze. – To dla mnie największa motywacja – mówi Estera. – Dostaję nagrody międzynarodowe, mimo że nie skończyłam akademii sztuk pięknych. To pokazuje, że pasja i determinacja są ważniejsze niż formalne wykształcenie. Chciałabym inspirować innych, pokazać, że nigdy nie jest za późno, by spełniać marzenia.

Malarstwo jako misja

Twórczość Estery Parysz-Mroczkowskiej to coś więcej niż obrazy. To głos w sprawach, o których świat czasem woli milczeć. Jej dzieła poruszają tematy ekologii, wojen, społecznych nierówności, sytuacji kobiet na świecie. Chce, by ludzie, patrząc na jej prace, zatrzymali się na chwilę i zaczęli zadawać pytania. – Czasem trudno mi wyrazić emocje słowami, ale mogę to zrobić przez sztukę – mówi artystka. – Malując, często płaczę. Moje obrazy są częścią mojej duszy. Chcę, by ludzie widzieli w nich coś więcej niż tylko twarze ubrane w kolory i kształty.

Jej determinacja i wyjątkowy talent sprawiły, że w ciągu kilku lat zyskała pozycję, o jakiej wielu artystów marzy całe życie. Nie spoczywa jednak na laurach – nadal tworzy, inspirowa, i przede wszystkim wierzy, że sztuka może zmieniać świat.

Historia Estery Parysz-Mroczkowskiej jest dowodem na to, że nigdy nie jest za późno, by odnaleźć siebie. To opowieść o odwadze, pasji i sile marzeń. Bo czasem wystarczy jeden prezent – sztaluga i farby – by całkowicie przewartościować swoje życie i zacząć nowy, piękny rozdział. ■

Małżeństwo w stylu karate

Wspólne przeżycie 25 lat to ważny moment w życiu obojga małżonków. Tym bardziej, jeśli wspólne życie to nie tylko codzienne obowiązki domowe, praca zawodowa, ale trwająca od wielu lat pasja. Niedawno mieszkańcy miejscowości Tymień w gminie Będzino, państwo Agnieszka Kowalczyk-Jęcek i Dariusz Jęcek, obchodzili ćwierć wieku małżeństwa, w którym sporo miejsca znalazło się dla karate. Karate nadal ćwiczą także ich dzieci: 25-letnia Adrianna, z zawodu fizjoterapeutka, oraz Mateusz, który ma także 25 lat i jest nauczycielem wychowania fizycznego. To ich rodzinna wielka pasja.

Tekst: Tomasz Wojciechowski
Zdjęcia: Magda Pater, prywatne archiwum

Oboje pracują zawodowo – ona jako urzędniczka w tutejszym urzędzie gminy, sympatyczna, usmiechnięta, ale też spokojna, bije od niej opanowanie. On natomiast jest funkcjonariuszem policji, poważnym i cierpliwym. Jak podkreśla pani Agnieszka Kowalczyk-Jęcek, wzajemnie się uzupełniają: – Poznaliśmy się pod koniec studiów i po roku znajomości wzięliśmy ślub.

Mąż studiował budownictwo, a ja inżynierię środowiska. Mąż jest osobą bardzo cierpliwą, dokładną, nie zraża się porażkami, którym trzeba stawić czoła. Ja z kolei jestem niecierpliwa, nie lubię czekać i chciałabym, aby wszystko było „na już”. Myślę że charakterologicznie jesteśmy podobni. A to, co nas różni, to powoduje wzajemne przyciąganie, jak magnes. W domu panuje partnerstwo. Czasami trudno nam pogodzić wszystko – pracę, treningi czy wyjazdy. Dlatego planujemy, żeby nie zabrakło na nic czasu. A czy to nam wychodzi? Na ogół tak, ale ważny jest też kompromis.

Oboje podkreślają też, że najważniejsze jest zdrowie, szczęście rodziny i umiejętność cieszenia się z drobnych rzeczy. W związku trzeba być szczerym, otwartym, rozumieć potrzeby drugiej osoby, nie można być zawziętym. A gdzie w tym wszystkim pojawiło się kyokushin karate? – Karate wkroczyło do naszej rodziny dzięki Sensei Pawłowi Tomaszewiczowi. To on w Szkole Podstawowej w Tymieniu założył już jakiś czas temu UKS Karate Kyokushin Kanku Tymień i właśnie tam, mąż zapisał się razem z dziećmi – wyjaśnia pani Agnieszka. – Przez 10 lat trenowałem taekwondo w koszańskim klubie u Sensei Henryka Ficka, ale musiałem przerwać treningi z powodu studiów. Trudno było pogodzić wieczorne wykłady i treningi, potem pojawiła się też zmiana miejsca zamieszkania – uzupełnia pan Dariusz. Droga pani Agnieszki Kowalczyk-Jęcek do karate była nieco inna. – A ja na treningi trafiłam, bo przegrałam zakład z dziećmi.





Dziś nie pamiętam już nawet o co (śmiej). Gdy już poszłam na trening i miałam do nich pretensje dlaczego wcześniej mnie nie namówili na naukę karate. Na początku nie było łatwo, bo musiałam dogonić grupę i w domu uczyłam się pierwszych kata, technik i japońskich słów, gdyż nie chciałam zostać w tyle albo nie wiedzieć czegoś – mówi pani Agnieszka.

Co daje karate? Moi rozmówcy śmieją się, że łatwiej powiedzieć, czego nie daje. Oczywiście oprócz aspektów fizycznych i świetnego wpływu na zdrowie człowieka w każdym wieku, karate jako sztuka walki uczy wytrwałości, dyscypliny, szacun-

ku, pokory, dokładności nie tylko na treningu, ale też w szkole, w pracy. Można powiedzieć, że uczy wszystkich tych cech, które obecnie się zacierają. – Czy spotkaliście się na macie jako przeciwnicy? Tylko i wyłącznie na treningu podczas sparingów kumite, wtedy to każdy może walczyć z każdym, bez względu na płeć, wiek, wagę czy umiejętności. Podczas takich treningów trzeba dostosować umiejętności i siłę ciosów do przeciwnika – wyjaśnia pani Agnieszka, a pan Dariusz dodaje: – Natomiast podczas startu na zawodach jest już podział na płeć, wiek i wagę, więc nie ma możliwości spotkania się na ma-



cie. No chyba że jedno z nas będzie startować jako zawodnik, a drugie będzie sędzią.

Bowiem warto dodać, że oboje małżonkowie są instruktorami w UKS KK Kanku Tymień. Ona prowadzi treningi grupy młodszej dwa razy w tygodniu, a on – sobotnie treningi kata. Szlify instruktorskie para zdobywała indywidualnie podczas kursów w Lublinie czy podczas corocznych wyjazdów na obozy np. w Krakowie, seminaria w Świnoujściu, w Sianowie, w Szczecinku, w Białogardzie, a także podczas wspólnych treningów w Koszalińskim Klubie Karate Kyokushin u Shihan Andrzeja Kłuj szo.

Karate to nie tylko sztuka walki, sposób życia, ale też efektywna obrona. Również dla kobiet, które przecież także narażone są na niebezpieczeństwo czy agresję. – Uważam, że każdy powinien umieć się bronić bez względu na płeć. Mówię tu zarówno o obronie przed atakiem fizycznym, jak i psychicznym. Jednak

zdecydowanie jestem zwolennikiem pokojowych rozwiązań, rozmowy, łagodzenia konfliktów. Zastosowanie technik samoobrony to już ostateczność. Pamiętajmy o tym, że jeżeli nie byliśmy nigdy w sytuacji podbramkowej w obliczu zagrożenia, to nie wiemy, jaka będzie nasza natychmiastowa reakcja – mówi pani Agnieszka. – Moim marzeniem byłoby, aby nasza „starsza” grupa była bardziej zróżnicowana wiekowo.

W przewadze podczas zajęć są mężczyźni i chłopcy. Żeńska część to dziewczęta, natomiast najmniej jest kobiet. A przecież karate to sztuka walki dla każdego bez względu na wiek. Nic nie stoi na przeszkodzie, by będąc nawet starszym podczas treningu pokonać tor przeszkód lub zaprezentować układ kata. Poza tym, jak widać na przykładzie pani Agnieszki i pana Darka, karate potrafi też wzmocnić partnerstwo wśród małżonków i przyczynić się do wzajemnego szacunku i zrozumienia potrzeb. ■



GABINET GINEKOLOGICZNY

Maria Kopaczyk-Pstrokońska

SPECJALISTA GINEKOLOG-POŁOŻNIK

**Profilaktyka onkologiczna
Antykoncepcja
Zaburzenia okresu okołomenopauzalnego
USG piersi**

**W gabinecie wykonywane są zabiegi w zakresie
GINEKOLOGII ESTETYCZNEJ z wykorzystaniem**

- **LASERA ENDOVAGINALNEGO APHRODITE**
- **URZĄDZENIA VagiTight HIFU**
- **TROPOKOLAGENU**
- **OSOCZA BOGATOPŁYTKOWEGO I FIBRYNY**
- **KWASU HIALURONOWEGO NEAUVIA**

w następujących wskazaniach:

- wysiłkowe nietrzymanie moczu
- zespół luźnej pochwy
- suchość pochwy (atrofia)
- rewitalizacja stref intymnych u kobiet dojrzałych i po porodach
- poprawa jakości życia seksualnego (O-shot i G-shot)
- wsparcie w leczeniu ran i blizn poporodowych i pozabiegowych
- leczenie zmian skórnych sromu i krocza (liszaj twardzinowy)
- przerost warg sromowych mniejszych (labioplastyka)

Rejestracja telefoniczna: **tel. 94 333 39 37** lub na **znanylekarz.pl**

Poniedziałek-piątek 8.00-20.00

Koszalin, ul. Głowackiego 7, e-mail: **mkpstrokonska@gmail.com**

Bat na rajdowców, nastolatki pod lupą, gapowicze na bacznosci

„Przejechaliśmy” już pierwsze miesiące nowego, 2025 roku. Mniej lub bardziej świadomi nowych przepisów, które w tym roku zaczęły, bądź zaczną obowiązywać niebawem. Zmian jest wiele. Warto jednak zwrócić na niektóre uwagę.

Tekst: Radosław Czerwiński

Zdjęcie: Magda Pater

Pomimo faktu, że ukrecony na rajdowców amatorów bat smaga ich coraz mocniej, to wysokie kary pieniężne, utrata prawa jazdy czy nawet groźby odsiadki w więzieniu wciąż nie dały do myślenia tym, którzy mają tzw. ciężką nogę. W tym roku – a jakżeby inaczej – piraci drogowi będą na jeszcze większym celowniku. Zasiadający za kierownicą, którzy przekroczą o ponad 50 km/h dopuszczalną prędkość na drogach dwukierunko-

ukończenia 18. roku życia, aby ubiegać się o prawo jazdy. Na dokument będą mogli zdawać rok młodsi 17-latkowie. Jednak w takim przypadku szczęśliwi posiadacze uprawnień do poruszania się w ruchu drogowym będą musieli liczyć się z licznymi obostrzeniami. Młodzi kierowcy poddani będą okresowi próbnemu, podczas którego na terenie zabudowanym nie będą mogli przekraczać prędkości 50 km/h, poza terenem zabudowanym 80 km/h, a na autostradzie czy drodze ekspresowej 100 km/h. Podczas kontroli drogowej alkomet, w którego dmucha nastolatek, nie będzie mógł wyjść poza granicę absolutnej trzeźwości (0,0 promila), a jazda 17-lątka będzie mogła (do czasu ukończenia pełnoletności) odbywać się tylko w obecności pełnoletniej osoby, posiadającej prawo jazdy.

„Gapowicze” zapłacą słono

Niecałe 10.000 zł (a dokładnie 9332 zł) w tym roku dla właścicieli aut osobowych wyniesie maksymalna kara za brak waż-



wych, jednojezdniowych, również poza terenem zabudowanym, mogą liczyć się z zatrzymaniem ich prawa jazdy. Uczestnik nielegalnych wyścigów na drogach publicznych może spodziewać się, że zostanie ukarany mandatem 1000 zł lub zatrzymaniem prawa jazdy na trzy miesiące. Jedynie kierowcy ciągników rolniczych będą od tego roku mogli wcisnąć gaz maszyny głębiej, ponieważ nowelizacja ustawy przewiduje zwiększenie limitu prędkości tych pojazdów z 30 na maksymalne 40 km/h.

17-latek za kierownicą pod obserwacją

Zmiana przepisów dotknie najmłodszych użytkowników dróg (lub kandydatów na takowych). Nie trzeba będzie czekać do

nego ubezpieczenia OC. To o 8,5 proc. (czyli o 732 zł) więcej niż w roku ubiegłym. Spowodowane jest to podwyżką płacy minimalnej, która od stycznia tego roku wynosi 4.666 zł. Stanie się tak, jeśli od upłynięcia ważności poprzedniej polisy miną ponad dwa tygodnie.

Niezłożenie w odpowiednim terminie deklaracji PCC-3, na podstawie której urząd skarbowy może wyliczać podatek (2 proc.) od czynności cywilnoprawnych (jak np. kupno samochodu) może skutkować karą, której wysokość to rozpięty wachlarz. Mieści się między 10 proc. wysokości płacy minimalnej po jej dwudziestokrotność, czyli wynieść może od 467 do 93.320 zł. Wszystko to za przekroczenie 14-dniowego terminu od zawarcia umowy. ■



Serialowy horoskop dla wszystkich znaków zodiaku!

Sprawdź, co w marcu zwiastują Ci gwiazdy ekranu!

We wtorek czeka Cię spotkanie z dreszczykiem emocji. Pozostaniesz pod wpływem żywiołu ognia oraz wody. Dzień rozpocznie się niewinnie, a napięcie będzie z każdą chwilą rosło. Podnieś alarm i wyczekuj swojego bohatera. Twoje szczęśliwe cyfry to **9-1-1**. Dowiesz się więcej na kanale FX. W każdy wtorek o 22:00.

W środę przygotuj się na szybsze tętno i skoki ciśnienia. Wyrzucisz w końcu wszystko, co leży Ci na wątrobie, a cięte poczucie humoru uratuje wieczór. Recepty na szczęście szukaj w serialu **Grey's Anatomy: Chirurdzy**. W każdą środę o 22:00.

W czwartek pełną parą wypłyniesz na szerokie wody. Będzie bujało, ale znajdziesz bezpieczny port włączając FX! Zachowaj spokój, a poniosą Cię korzystne prądy. Wejdź na statek pełen pokus z załogą serialu **Doktor Odyssey**. Twoja randka już tam na Ciebie czeka. W każdy czwartek o 22:00.

TEN WIECZÓR SKOŃCZY SIĘ Z FX!

Randka z
FX
Tylko Ty i TV

PREMIERY MARCA
WTOREK-CZWARTEK
22:00



Nieoczywisty Afganistan

Trudno dziś uwierzyć, że przez setki lat historii obszar, który teraz zajmuje Afganistan, był znaczącym ośrodkiem rozwoju cywilizacji i jednym z najbogatszych obszarów świata antycznego. Afganistan jako państwo takie, jakie znamy obecnie, istnieje od około 300 lat. Wcześniejsze stulecia obszar ten zajmowały dwie historyczne krainy Sogdiany i Baktrii, a następnie wchodził w skład różnych imperiów, z perskim na czele. I choć dziś Afganistan jest krajem muzułmańskim, to w przeszłych dziejach na tym obszarze kwitły inne religie, jak zoroastryzm czy buddyzm.

Tekst i zdjęcia: Robert Nawrocki

W trzecim stuleciu przed naszą erą dotarł w te rejony odległego świata Aleksander Wielki na czele swoich falang w zwycięskim pochodzie do Indii. Władca ten wręcz uwielbiał zakładać nowe miasta na swojej trasie militarnych podbojów i nazywać je swoim imieniem. Najśłynniejszy przykład to, oczywiście, Aleksandria w Egipcie, ale równie wspaniałym miastem powstałym dzięki macedońskiemu zdobywcy jest dzisiejsze afgańskie miasto Kandahar, które powstało jako Aleksandria w Arachozji. Swoją urbanistyczną karierę Kandahar rozpoczął na wzgórzu dominującym nad całą okoliczną doliną, na którym Aleksander kazał zbudować twierdzę, do dziś noszącą jego imię – Twierdza Aleksandra Wielkiego. W wodę miasto zaopatrywało się w pobliskiej rzece Helmand, która ze względu na zmiany klimatyczne raz toczy swoje wody, a raz zupełnie znika. Gwoli prawdy należy zaznaczyć, że obecnie nie ma najmniejszego śladu po czasach Aleksandra Wielkiego i pierwotnej budowl, a obecne majesta-

tyczne mury obronne powstały o wiele później. Kandahar jest jednym z największych miast tego kraju i bardzo ważnym ośrodkiem politycznym i ekonomicznym.

Miasto konserwatywne

Choć oficjalną stolicą Afganistanu jest Kabul, to duchowe i polityczne serce tego kraju bije (i to czasem dosłownie) właśnie w Kandaharze, zamieszkanym głównie przez plemię Pasztunów. To oni stanowią grupę etniczną, która zrodziła słynnych, choć niesławnych Talibów. To bardzo konserwatywne miasto, nawet jak na ortodoksyjny islam. W Kandaharze znajduje się grobowiec w formie mauzoleum pierwszego władcy Afganistanu Ahmata Szaha Durrani, który stworzył ten nowy kraj na politycznej mapie świata trzy stulecia temu. Niedaleko grobowca znajduje się niewielki, choć pięknie zdobiony meczet, a w zasadzie Sanktuarium Szaty, w którym ma być przechowywana najważniejsza relikwia afgańskiego islamu, czyli zielony płaszcz samego proroka Mahometa. O ile płaszcz jest wewnętrzną sprawą Afgańczyków i ich religii, to Kandahar szczyli się miejscem o znaczeniu międzynarodowym. To skała o nazwie Chil Zena, na której odnaleziono jeden ze słynnych edyktów hinduskiego króla Asioki, który po latach wojen i rzezi, gnębiony poczuciem winy, nawrócił się na buddyzm. To był trzeci wiek przed naszą erą, a obszar dzisiejszego Afganistanu (wtedy była to Baktria) zasiedlony był przez licznych greckich kolonistów, którzy otwarci byli na nowe idee filozoficzne i religijne.

Religijna różnorodność i mnisi ser

Trudno uwierzyć, że ten kraj kojarzony obecnie z fanatycznym i agresywnym islamem był obszarem unikalnej i tolerancyjnej kultury powstały z połączenia tolerancyjnych idei greckich

13
ULICA

Petra

POLSKA PREMIERA

ŚRODY O 22:00



OGLĄDAJ NA POZYCJI 9



TELEWIZJA
KABLOWA KOSZALIN
SPÓŁKA Z O.O.

i hinduskich. Buddyzm skutecznie zapuszczał korzenie coraz bardziej na zachód i niewiele brakowało, by jeszcze w czasach antycznych dotarł do Europy, co być może zmieniłoby bieg naszej historii. Spektakularną pamiątką tych niezwykłych czasów jest położona w centralnej części Afganistanu miejscowość Bamian ulokowana w pięknej dolinie otoczonej szczytami gór Hindu Kusz. Pośrodku tej doliny wznosi się ogromna skała, w której już z daleka widać przeróżnej wielkości otwory, co sprawia, że ten masyw wygląda trochę jak gigantyczny kawał sera. To setki wykutych w skale jaskiń, które niegdyś były celami mnichów buddyjskich. Ale największą niesamowitością, nie tylko Bamianu, nie tylko Afganistanu, ale i w skali całego świata, były dwa ogromne posągi Buddy wyrzeźbione wprost w masywie skalnym. To były w zasadzie bardzo przestrzenne płaskorzeźby, które w trakcie prac kamieniarskich zostały wykute przez setki robotników, którzy ryzykowali życiem, aby powstały tak wielkie figury. Większa miała wysokość 55 metrów, a mniejsza 38 metrów, i przez setki lat były największymi posągami Buddy na świecie. Przetwały wiele dziejowych burz, pokonały czas i erozję wiatrów. Przetwały nawet inwazję mongolskiego władcy Czingiz Chana w XIII wieku, ale nie przetrwały fanatyzmu religijnego Talibów. Ich przywódca, jednooki mułła Omar rozkazał zniszczyć te arcydzieła ludzkiej cywilizacji, w imię jedynie słusznej religii i jedynego boga Allaha. Starożytni Buddowie zostali dosłownie rozstrzelani z granatników, a cywilizowany świat patrzył na to bezsilnie protestując. Po cudzie naszej ogólnoświatowej cywilizacji pozostały dwa puste oczodoły patrzące ślepią skargą na bezsens fanatyzmu.

Skarb świata przyrody

Dolina Bamianu leży na pradawnym szlaku jedwabnym, którą przez całe stulecia szły karawany nie tylko z jedwabiem, ale i z nowymi ideami i religiami. Strategicznego szlaku broniły twierdze, z których jedna wznosi się nad miasteczkiem na wzgórzu, gdzie wybudowano całe warowne miasto, z którego zostały tylko ruiny. Zostało zdobyte przez mongolskiego wodza Czingiz Chana, a co musiało dokonać się po zdobyciu grodu świadczy potoczna nazwa tego miejsca – „miasto płaczu”. O wiele pogodniejsze i piękniejsze miejsce leży parę godzin jazdy od doliny Bamian. To jedyny (jak na razie) narodowy park w Afganistanie o nazwie Band-e Amir. Jest jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie, a o jego urodzie stanowi łańcuch przecudnej urody jezior o nieskazitelnym błękitnym kolorze. Cały obszar parku jest bezdrzewny. To w zasadzie pustynia skryta w zapadlisku gór Hindu Kusz, która wypełniła się wodą w przedziwny sposób. Otóż woda strumieni zasilających jeziora jest bardzo bogata w związki wapnia, które mają tendencję do gromadzenia się i nawarstwiania. Z czasem potoki same „wybudowały” sobie zapory, które zatamowały odpływ wody i stworzyły piękne jeziora, które zostały wpisane na listę UNESCO jako skarb świata przyrody. I tylko należy mieć nadzieję, że żaden szalowiec nie zechce tego zniszczyć, jak to się stało w przypadku posągów Buddy w Bamianie.

Jak feniks z popiołów

Stolicą Afganistanu kraju jest Kabul, spore miasto, które od dziesiętków lat co chwila znajduje się na czołówkach świato-





wych gazet. Wiele lat wojen domowych, jak i obcych interwencji, zmasakrowało tę aglomerację, a jednak dziś na ulicach miasta nikt nie zauważy jakichkolwiek śladów zniszczenia. Miasto z uporem odradza się jak feniks z popiołów wojny i tętni codziennym życiem zabieganych mieszkańców. Nie jest to miejsce pełne zabytków czy turystycznych niesamowitości. Nawet jeśli były, to poległy na kolejnych frontach ulicznych walk. A to, co ocalało, odbudowano z zagranicznych funduszy, i to odbudowano tak, że zachwyca swoim pięknem, ale jednocześnie zatraciło swój historyczny charakter. Specjaliści od rekonstrukcji nie uznają tak gruntownej odbudowy, gdzie większość materialnej tkanki to nowe elementy. Ale to zmartwienie naukowców, a turyści, jeszcze bardzo nieliczni, mogą jednak zachwycać się na przykład odbudowanymi Ogrodami Babura, które stanowią najstarszy zachowany (choć częściowo) przykład ogrodu perskiego. Babur był założycielem słynnej dynastii Wielkich Mogołów, władców Indii, którzy pozostawili po sobie choćby słynny Tadž Mahal w indyjskiej Agrze. W najwyższym punkcie ogrodów pochowany jest sam Babur, spoczywający (jeśli to on, bo są wątpliwości) w pięknym grobowcu ze śnieżnobiałego marmuru. To też rekonstrukcja, nawiasem mówiąc. Najbardziej „turystyczną” ulicą stolicy jest „Chicken Street”, czyli ulica „kurczakowa”, na której niegdyś sprzedawano nie tylko drób. Trudno dziś uwierzyć, ale sława tego niewielkiego zaułku w latach 70. ubiegłego wieku była całkiem spora, bowiem odwiedzali ją amerykańscy i europejscy hippisi, aby napawać się tanią marihuaną i swobodnym sposobem taniego życia. Dziś trudno sobie wyobrazić taką scenę. Marihuany już nie ma, ale niewielkie sklepiki na Chicken Street sprzedają dywany, antyki pozostawione przez brytyjskich okupantów sprzed dwóch stuleci i gadzety rosyjskich interwencji ze stulecia mienionego. ■

Nie ma algorytmu na poczucie humoru

Rozmowa z prof. Wojciechem Kacalakiem, ekspertem od budowy i eksploatacji maszyn, rektorem Politechniki Koszalińskiej w latach 1993-1999, doktorem honoris causa Politechniki Poznańskiej (2015) i Politechniki Koszalińskiej (2017)

Czy poczucie humoru ma znaczenie w życiu człowieka?

– Oczywiście. Ludzie do normalnego życia potrzebują różnych sposobów na zmniejszanie fizycznego i umysłowego zmęczenia. Rozwój cywilizacji umożliwia coraz lepsze przewidywanie zdarzeń odnoszących się do ludzi i społeczności oraz innych organizmów ożywionych i na dokładniejsze prognozowanie stanu obiektów materialnych.

Śmiejemy się, bo jesteśmy przeciążeni?

– Pewna część naszego otoczenia jest w części losowa, ujmując to naukowo, probabilistyczna. Inaczej być nie może; nie wszystkie zdarzenia można przewidzieć. To, wraz z obciążeniem różnorodnymi obowiązkami, powoduje, że człowiekowi nieustannie towarzyszy skupienie, napięcie i przetwarzanie strumieni danych.

A umysł potrzebuje zwolnienia obrotów.

– Umysł potrzebuje co pewien czas relaksu, przeniesienia się na chwilę do strefy obserwatora lub odbiorcy abstrakcyjnych skojarzeń, a nawet do mikroteatru w postaci żartów.

Czym są żarty w ujęciu naukowym?

– Skupię się na funkcji relaksacyjnej; w poważniejszym sensie może ją odgrywać np. literatura, twórczość filmowa, muzyka i wiele innych form sztuki. Na to jednak potrzeba więcej czasu i silniejszego zaangażowania. Żarty są prostszą wersją przenoszenia się na chwilę w świat abstrakcji, irracjonalizmu na jawie. Mogą przy tym spełniać pozytywną rolę w stopniu większym niż sądzimy.

Co ostatnio pana rozbawiło?

– Codziennie spotykamy się z różnymi formami skojarzeń, wypowiedianych myśli, zaskakująco wieloznacznych, przewrotnych opinii i porównań. Trafiają w moje poczucie humoru proste, acz nieco kąśliwe zdania, w rodzaju: „zawsze pracował na miarę swoich możliwości” albo „posiada doskonałe wykształcenie, ale stara się tego nie wykorzystywać w nadmiernym stopniu”. Zabawnie brzmi właściwe zastosowanie kontrastu.

Obszar naukowy ma swoje dowcipy?

– „Polak przebywał na stażu w instytucie w Niemczech. Pracował jak wszyscy do 18, w systemie z przerwą na obiad. Któregoś dnia zauważył, że Chińczyk wyszedł o 15. Nazajutrz, korzystając z przykładu, postąpił tak samo. Następnego dnia szef zwrócił mu uwagę, że nie powinien wychodzić z pracy o 15. Kiedy Polak podał przykład Chińczyka, usłyszał: <Owszem, pana kolega mógł wyjść o 15, bo ma urlop>”.

Naukowcy śmieją się z samych siebie?

– Nie wszyscy i nie zawsze, ale... „Znany profesor z prestiżowego światowego uniwersytetu jechał pociągiem i z rosnącym podziwem czytał prace, których był współautorem”.

Jak się śmiać, to do łez, czy do refleksji?

– Zależy, co następuje wcześniej. Niektórzy wolą żarty mało abstrakcyjne, a inni odwrotnie. Puenta może docierać natychmiast lub wolniej. Niektórzy ludzie nie są skorzy do żartów z siebie, a jedynie z innych. To zapewne kwestia zbyt poważnego traktowania tego, co ma być przeciwieństwem powagi.

Im człowiek starszy, tym bardziej poważny?

– Nie dostrzegam tak wyraźnych zależności. Nie powinniśmy zamieniać szerokich horyzontów z młodości na jedynie słuszny punkt widzenia wieku dojrzałego. Z drugiej strony, kiedy starsi są żartobliwi, otoczenie niekiedy postrzega to jako zachowanie zaskakujące.

Czy w żartach powinny istnieć tematy tabu?

– Ogólnie rzecz biorąc nie, ale jednak trzeba być ostrożnym w żartach, bo systemy wartości i historie doświadczeń poszczególnych osób mogą być różne. Systemy wyrażania myśli też są na ogół zróżnicowane.

Jakie dowcipy z gruntu rzeczy są nieśmieszne?

– Dowcipy prymitywne są nie tylko nieśmieszne, ale także przenoszą odbiorców do żenującego poziomu intelektualnego. Nie powodują oczekiwanego relaksu dla umysłu. Za mało śmieszne można uznać dowcipy oparte na kanwie obraźliwej lub trywialnej.

Czy istnieje algorytm na dobry dowcip?

– Prostym algorytmem jest stopniowe budowanie zaciekawienia, po to, aby na końcu pojawiła się, w postaci sentencji, zaskakująco uzasadniona krytyka jednej lub wielu ludzkich przywar, cech. Twórcy dowcipów często wykorzystują wieloznaczne pojęcia, paradoksy codzienności lub problemy we wzajemnej komunikacji ludzi.

Czy możliwe jest ustanowienie wzoru na żart?

– Abstrakcje są trudne do algorytmizacji.

Mogliaby pomóc nam w tym sztuczna inteligencja?

– Możliwe, że sztuczną inteligencję będzie można nauczyć tworzenia prostych dowcipów, nie sądzę jednak, by mogły one dorównać twórczości ludzi.

Dlaczego?

– Ludzie w odróżnieniu od systemów sztucznej inteligencji mają świadomość istnienia. Długą historię narastająco gromadzonych doświadczeń. Pamiętają okresy i zdarzenia towarzyszące przeżyciom, doznaniom. Mają też w pamięci niezliczoną ilość sytuacji, pozornie bez związku z ich wiedzą i doświadczeniem.



Czyli na nic włączenie modułu żartu?

– Układ i zbiór wszystkich oddziaływań pomiędzy neuronami i komórkami u poszczególnych osób kształtował się przez dziesiątki lat. Nie jest możliwe zastąpienie tego gotowym zbiorem danych.

Komizm to talent czy cecha osobowości?

– Każdy człowiek jest w mniejszym lub większym stopniu moderatorem w swoim otoczeniu. Stara się zyskiwać dobre oceny. Na to jednak nakładają się emocje, a bywa, że skłonność do irracjonalnych zachowań. Trudno w kontekście komizmu zastosować uogólnienia. Tym bardziej, że ta umiejętność, a być może, jak pan wskazuje, talent, charakteryzują się dynamiczną zmiennością.

Dobry żart, to pana zdaniem jaki?

– Nie jestem ekspertem od humoru i żartów wpływających na chwilowe zrelaksowanie umysłu. Myślę jednak, że trafny żart to taki, który spełnia kryterium dobrego poziomu intelektualnego i uwypukla znaczenie pozytywnych cech ludzi.

Czy tylko natężenie śmiechu decyduje o jakości dowcipu?

– Trzy myśli, które przytoczę, odnoszą się do twórczości ludzi. W pełni także pasują do oceny żartów: „Tylko to dzieło czegoś jest warte, z którego człowiek może się poprawić i mądrości nauczyć” – to Adam Mickiewicz. „Niektórzy widzą rzeczy takie,

jakim są i pytają: «Dlaczego?». Ja śnię o rzeczach, których nigdy nie było i pytam: «Dlaczego nie?» – to George Bernard Shaw. A Albert Einstein stwierdził: „Wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy, ponieważ wiedza jest ograniczona”.

Co pana śmieszy?

– Odległość mentalna między śmiesznością a krytyczną oceną może być niewielka. Takie cechy mają różnorodne formalizmy, niekiedy zwyczajne albo ekstremalne zachowania.

Jak należy opowiadać dowcipy?

– Przede wszystkim bez zamęczenia osób z otoczenia i z właściwym nawiązaniem do kontekstu zdarzenia. Trzeba uważać, żeby dowcipy nie dominowały nad innymi, być może ciekawszymi tematami rozmów. Nie powinny odciągać uwagi od istotniejszych zagadnień. Nie warto też uczestniczyć w konkursie: kto zna więcej dowcipów.

Czy zażartowanie wymaga zapowiedzi?

– Najczęściej tak, z wyjątkiem potrzeby zaskakującego budowania narracji.

Jak i jakie żarty pan opowiada?

– Wszystko zależy od kontekstu i okoliczności. Kilka przykładów już powiedziałem.

Czy naukowcy mają poczucie humoru?

– Badań w tym kierunku nie prowadziłem, to nie moja dziedzina, ale mogę stwierdzić, że nie widzę odrębności naszego środowiska, choć dostrzegam występującą w nim korzystną cechę – oczekiwanie na dobry poziom intelektualny żartów.

W stereotypie nauka jest śmiertelnie poważna.

– Nauka sama w sobie nie jest poważna, to problemy, jakimi się zajmuje, wymagają poważnego podejścia. Co więcej, popularyzacja nauki nie jest łatwa, bowiem wymaga od odbiorców treści cierpliwości i chęci częściowego uczestnictwa w przyswajaniu złożoności różnych opisów i wyników prac naukowo-badawczych.

Czy ludzie mniej dowcipkujący są lepiej odbierani?

– Ludzie potrafiący żartować – w granicy rozsądku – są lepiej odbierani towarzysko, ale nie ma to nic wspólnego z oceną osiągnięć, postaw, działań.

Czy istnieje dyscyplina nauki o poczuciu humoru?

– Nie spotkałem się z tym, ale przypuszczam, że w badaniach zakresu psychologii i lingwistyki tematyka taka może występować.

Spotkał Pan ludzi kompletnie pozbawionych poczucia humoru?

– Kompletnie pozbawionych nie spotkałem. W konkretnych przypadkach brak reakcji na żart nie musi oznaczać braku poczucia humoru. Wspomnieliśmy, że dowcip może być po prostu mniej śmieszny. Poza tym od osób zatroskanych nie można wymagać radości.

Czy istnieje metoda na rozbrojenie ponuraka?

– Najlepiej znaleźć pomocny temat i metodę generowania relaksu. Przy tym nie należy jednak przyjmować postawy uzdrowiciela nastroju ani ratownika świadczącego pierwszą pomoc w przypadku spadku poziomu zadowolenia.

Rozmawiał Piotr Pawłowski

Fot. Adam Paczkowski/Politechnika Koszalińska

Zrób film, wyślij na konkurs i przyjedź na festiwal

Organizowany w Sianowie Folk Film Festival (FFF) to ważne wydarzenie kulturalne Pomorza Środkowego i województwa zachodniopomorskiego. Nie zawsze dostrzegany i doceniany przez władze regionu, na przestrzeni kilkunastu lat stał się jedną z marek kultury. Pierwsza edycja FFF odbyła się w lipcu 2014 r. Organizatorzy z Sianowskiego Centrum Wiedzy pod koniec stycznia 2025 r. zaprezentowali, jaka będzie tegoroczna 12. odsłona festiwalu i w jaki sposób podsumowali 10 pierwszych, a także ogłosili nabór jednodominutowych filmów do tradycyjnie towarzyszącego FFF Konkursu Krótkich Filmów KOKOFY.

Tekst: Marta Adamska

Zdjęcia: Zbigniew Zięba/SCW

Okładka wydawnictwa: Łukasz Waberski

Folk Film Festival to: kino, zwłaszcza polskie, czyli bogaty program projekcji, które rozpoczynają się kilka dni przed inauguracją, filmy amatorskie i profesjonalne startujące w KOKOFACH, fotografia i sztuki plastyczne na wystawach w Galerii Zorza i w konkursach dla dzieci, rękodzielnicwo podczas warsztatów dla zainteresowanych, nie tylko najmłodszych, muzyka prezentowana na koncertach kameralnych i plenerowych, teatr sceniczny i uliczny, a więc w plenerze, literatura rozumiana jako spotkania z pisarzami i promocja czytelnictwa, kultura kulinarna w dobrym wydaniu, zwłaszcza regionalna, a przede wszystkim goście: aktorzy, reżyserzy, fotograficy, muzycy, wokaliści, pisarze, artyści plastycy.



Statuetki dla najlepszych

FFF szybko wyszedł poza zasięg i ramy lokalne i regionalne, wpisując się w mapę polskich festiwali filmowych, imprez interdyscyplinarnych, promujących folk jako dziedzinę kultury zintegrowaną ze społecznością i otwartą dla gości. Każdego roku jurorem KOKOFÓW jest inny reżyser młodego lub średniego pokolenia. Na konkurs napływa średnio 80-90 filmów z całego kraju, w tym ze szkół filmowych, artystycznych, a od 2020 r. także z zagranicy, chociaż organizatorzy dopiero tegoroczną edycję oficjalnie czynią międzynarodową. Laureaci otrzymują KOKOFY, a więc oryginalne, powołane do życia przez sianowską artystkę Annę Wojcieszek, statuetki, których nie sposób pomylić z jakąkolwiek inną nagrodą.

Powoli i w skupieniu

Poprzez swoją wielodziałową formę, atrakcyjność programu i bezpłatny dostęp do kultury, FFF przyciąga mieszkańców miasta i gminy – położonej 10 km od morza i mającej od dwóch lat za pośrednictwem Łaz dostęp do wybrzeża – i sąsiednich miejscowości, w tym: Koszalina, Słupska, Sławna, Darłowa.

A także turystów. Festiwal promuje Sianów w kraju i promieniuje na inne działania, a przede wszystkim stanowi oryginalną wizytówkę. Samorząd realizuje misję kultury wpisanej w rozwój społeczności lokalnej, kultury otwartej i dostępnej, kultury edukującej i integrującej, kultury niedzielącej żadnego miejsca na centra i peryferia. Sianów postawił na kulturę i ta strategia okazała się skuteczna, potrzebna i doceniana.

Unikalny klimat Zorzy

Charakterystyczna przyjazna atmosfera FFF bliższa jest – kultywowanej w Sianowie za marką europejską – idei slow life, niż life’stylowemu eventowi z czerwonym dywanem i ściankami dla gwiazd. Sprzyja to kontaktowi bezpośredniemu artystów z odbiorcami.

– To prawdziwe i otwarte dla wszystkich święto kultury, zwłaszcza kina i miasta – wyjaśnia Aleksandra Kowalczyk, dyrektor Sianowskiego Centrum Wiedzy (SCW) i festiwalu. Najważniejsze w Sianowie jest kino polskie, w różnej postaci. Widzowie znajdują w programie projekcji – odbywających się w nowoczesnym, niedawno wyremontowanym, a przy tym historycznym i klimatycznym kinie Zorza – nowości, obrazy nagradzane i głośne.

Z października na lipiec

Widzowie mają również rzadką okazję obejrzyć filmy wspólnie z ich reżyserem – przewodniczącą/cym jury konkursowego. Folk Film Festival w całości realizowany jest środkami i siłami samorządu lokalnego i SCW.

W 2020 r. pandemia koronawirusa spowodowała, że wydarzenie odbyło się nie jak wcześniej przez wiele lat w lipcu, lecz w październiku, i trwało o dzień krócej niż zwykle. Podobnie było w latach 2021-2023.

– Wydawało się, że termin jesienny sprzyja imprezie – przyznała dyrektor SCW. – Dopiero powrót do lipca w 2024 r. uświadomił nam wszystkim, że to wydarzenie ma charakter wakacyjny, lato sprzyja odbiorowi kultury, zwłaszcza w plenerze.

Powrót na stałe miejsce

O tym wszystkim mówili przedstawiciele komitetu organizacyjnego FFF, którzy pod koniec stycznia br. spotkali się z dziennikarzami na scenie i widowni kina: Maciej Berlicki, burmistrz Sianowa, równocześnie przewodniczący komitetu, Aleksandra Kowalczyk, Marek Jackowski, kurator KOKOFÓW od pierwszej edycji, Łukasz Waberski, grafik, który każdego roku przygotowuje stronę wizualną festiwalu i Piotr Pawłowski, dyrektor programowy FFF.

– Po kilku latach, kiedy na placu Pod Lipami trwały inwestycje i przebudowy obiektów, festiwal w ubiegłym roku wrócił na swoje stałe miejsce – pomiędzy kino, Centrum Kultury i nowe Centrum Nauki – przypomniał gospodarz gminy. – W ten sposób historia zatoczyła koło.

Wydawnictwo jubileuszowe

– Cieszę się, że możemy dzisiaj zaprezentować podsumowanie pierwszej dekady festiwalu w formie książki zawierającej wszystkie dotychczasowe katalogi FFF – dodał Maciej Berlicki. Wydawnictwo ukazało się w limitowanej edycji, w twardej oprawie. Dostępne jest w niewielkim nakładzie w bibliotece sianowskiej – dla pierwszych osób zainteresowanych i do wypożyczenia, a wkrótce trafi na stronę SCW i festiwalu w wersji pdf, z możliwością pobrania.

Aleksandra Kowalczyk: – Katalogi są wizytówką festiwalu, relacjonują przebieg każdej edycji. Trafiają do naszych partnerów



organizacyjnych, także do szkół filmowych, szkół teatralnych, ośrodków kultury prowadzących zajęcia filmowe.

Tylko i aż jedna minuta

O konkursie mówił Marek Jackowski, który przyjmuje propozycje filmowe i utrzymuje kontakt z autorami prac nagrodzonych, obserwując późniejszy rozwój karier najzdolniejszych z laureatów.

– Konkursowy temat, który będzie obowiązywał w tym roku, zaproponował przewodniczący jury ubiegłorocznej edycji, reżyser Maciej Pieprzyca; to: „Bohater naszych czasów” – wyjaśnił kurator. – Może to być każdy, każda osoba, ale niekoniecznie postać; to jest ten czas, kiedy warto rozejrzeć się wokół siebie, żeby „bohatera naszych czasów” odnaleźć, nazwać i pokazać. Czasami bohaterowie są mało widoczni. Trzymamy się tego, co najważniejsze – film może trwać 1 minutę, nie dłużej i nie krócej – dodał Marek Jackowski.

Amatorzy wśród najlepszych

Jednak, jak wynika z wieloletnich doświadczeń organizatorów, krótki czas nikogo nie zraża. – Mobilizuje twórców do syntetycznych opowieści – zauważył kurator. – O tym mówią, kiedy do nas przyjeżdżają: 60 sekund to niewiele, żeby opowiedzieć historię, ale stanowi inspirujące wyzwanie.

Organizatorzy każdego roku docierają z zaproszeniem do konkursu do jak najszerszego grona potencjalnych uczestników, w tym do członków kół i klubów filmowych, uczniów i studentów szkół artystycznych różnego szczebla, początkujących filmowców. – Praktyka wskazuje, że to amatorzy najczęściej wygrywają konkurs – przyznał Marek Jackowski.



Konkurs międzynarodowy

Przyjmowanie propozycji filmowych trwa, filmy można umieszczać na serwerze KOKOFÓW do 7 lipca br. – Zwykle, niestety, odbywa się to na ostatnią chwilę, dlatego zachęcamy uczestników do przestrzegania terminu – podkreślił Marek Jackowski. – Zanim trafią pod ocenę jury, produkcje przechodzą etap wstępny, czyli selekcję formalną. Przygotowanie filmów do prezentacji też wymaga czasu, zatem: im szybciej, tym lepiej, a dla nas sprawniej.

Tegoroczna odsłona KOKOFÓW – po raz pierwszy – oficjalnie została umiędzynarodowiona. – Po 11 latach najwyższy czas zaprosić do udziału twórców z innych części Europy i świata – oznajmiła Aleksandra Kowalczyk. – Przed nikim nie zamykamy drzwi. Dla laureatów mamy atrakcyjne nagrody finansowe.

Swoboda w przestrzeni

O warstwie wizualnej FFF mówił Łukasz Waberski: – Po 11 latach przechodzimy na nowy, inny poziom graficzny. Zmiany, które wprowadzamy, to konsekwencja wszystkiego, czego doświadczyliśmy w ostatnich latach i od pierwszej edycji. Mam na myśli między innymi zmiany przestrzenne wynikające z powstania Centrum Nauki, przebudowy placu, remontu kina. Festiwal wchodzi w nową erę, dlatego staraliśmy się, aby strona wizualna też weszła w nowy etap. Festiwal staje się bardziej nowoczesny. Stawiamy na promocję marki FFF, a wcześniej byliśmy skupieni na poszczególnych edycjach. Ta koncepcja uległa zasadniczej zmianie. Projekt stał się światłoczuły, wrażliwy, oparty właśnie na swobodzie w przestrzeni.

Wielka przyjemność

Podczas konferencji odbyła się prezentacja nowej wizualizacji, której dominującym elementem jest promieniujący, rozmyty okrąg, przywodzący na myśl słońce, wodę i powietrze, który pulsuje intensywnością wyrazistych barw. – Ta wolność ujęta w projekcie ma kilka znaczeń – podsunął Łukasz Waberski. – To podejście do życia, sztuki i bycia, zwolnienie tempa i wolność

twórcza, ale także otwartość na wszelkie formy wyrazu, gatunki, również filmowe i mieszanie dziedzin. Chcemy, żeby taki był festiwal: wolny, swobodny, z poczuciem przestrzeni, otwartości. Żeby był wydarzeniem z naszych marzeń, a przez to miejscem, w którym zdobycie nagrody w konkursie filmowym stanie się jeszcze większą przyjemnością.

Wszystkie ręce na pokład

Aleksandra Kowalczyk przypomniała: – Ktoś kiedyś powiedział w odniesieniu do organizacji festiwalu, że jak przetrwamy dwie edycje, to polecimy dalej. No to lecimy. Mamy przepięknie wyremontowane kino, nasz „sianowski trójkąt kultury” na placu Pod Lipami, nowe osoby w Komitecie organizacyjnym i mnóstwo nowej energii do działania. W wydarzeniu bierze udział cała instytucja. Zaangażowane jest Centrum Kultury i Centrum Nauki, oczywiście biblioteka, w której każdego roku odbywa się spotkanie z pisarką lub pisarzem, i kino, do którego zapraszamy widzów na projekcje, koncerty i inne punkty bogatego programu. Na placu stanie scena, w Łazach odbędą się prezentacje teatrów ulicznych. Dla Sianowa Folk Film Festival to jedna z najważniejszych imprez kalendarza kulturalnego miasta i gminy.

W poszukiwaniu nowości

Program 12. Folk Film Festival będzie znany wczesną wiosną. Wtedy też poznamy nazwiska artystów, którzy w tym roku przyjadą do Sianowa. Organizatorzy zapewniają, że jak co roku nie zabraknie twórców uznanych, nagradzanych. Trwają rozmowy z gwiazdami muzycznymi. W repertuarze filmowym znajdzie się kilkanaście pozycji z lat 2023-2024, być może również kilka nowości, choć ich ściągnięciu nie sprzyja termin, ponieważ większość producentów szykuje się z premierami na wrześniowy Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

– Pojedziemy do Gdyni, żeby zobaczyć, co możemy pokazać w Sianowie za rok, bo i tak większość kinowych, ogólnodostępnych premier zostanie zaplanowanych na jesień tego roku i wiosnę przyszłego – zapowiada dyrektor festiwalu i SCW. ■

FILMOWY LUTY



14
||

Pies na medal



14
||

Bridget Jones:
Szalejąc za facetem



14
||

Kapitan Ameryka:
Nowy wspaniały świat



21
||

Nosferatu



28
||

100 dni do matury

WCZEŚNIEJ KUPUJESZ, WIĘCEJ ZYSKUJESZ

Włoska klasyka na talerzu



Włochy to kraj, w którym jedzenie to prawdziwa sztuka, a każda potrawa ma swoją historię i charakter. Dziś zapraszamy Was w kulinarną podróż do serca włoskiej kuchni, gdzie proste składniki łączą się w wykwintne dania pełne smaku i tradycji. Na początek – spaghetti carbonara, prawdziwa rzymska klasyka. Choć na świecie można spotkać wiele jej wariantów, to oryginalna wersja składa się tylko z kilku składników: guanciale (suszonego podgardla wieprzowego), żółtek, sera pecorino i pieprzu. Jak się okazuje, najlepsze dania to te najprostsze.

Dla miłośników lekkich i eleganckich przystawek mamy tatar z tuńczyka – delikatne, surowe mięso ryby, podane z kremową burratą, słodkimi pomidorkami i aromatycznym pesto bazyliowym.

Na deser serwujemy zabajone, aksamitny krem na bazie żółtek, cukru i słodkiego wina Marsala. To klasyczny włoski deser, który od wieków cieszy podniebienia swoją lekkością i subtelną słodyczą. Najlepiej smakuje podawany na ciepło, w towarzystwie filiżanki mocnego espresso. Do wspólnego gotowania zaprasza Maciej Buczek, szef kuchni i miłośnik włoskich smaków. Razem z nim odkryjecie sekrety tych wyjątkowych dań i przekonacie się, że kuchnia Italii może zagościć w Waszym domu na co dzień!

Tatar z tuńczyka z burratą i pesto

Porcja: 2 osoby



Składniki:

- 400–500 g surowego tuńczyka (najlepiej polędwicy)
- 1 łyżka octu balsamicznego (prawdziwego, dobrej jakości)
- 1 łyżka oliwy z oliwek
- 1 burrata
- kilka słodkich pomidorków koktajlowych
- około 100 g pesto bazyliowego
- świeżo mielony czarny pieprz
- sól do smaku.



Sposób przygotowania:

Pokrój tuńczyka w grubą kostkę i przełóż do miski. Dodaj ocet balsamiczny, oliwę z oliwek i odrobinę soli. Całość dokładnie wymieszaj, aby składniki się połączyły. Na talerzu uformuj tatar przy pomocy obręczy kuchennej lub małej miseczkki (możesz odwrócić miseczkę do góry dnem i delikatnie wyjąć tatara). Na wierzchu tatara ułóż kawałki burraty. Polej całość pesto bazyliowym. Posyp posiekanymi pomidorkami koktajlowymi. Na koniec dopraw świeżo zmielonym pieprzem.



Prawdziwe rzymskie spaghetti carbonara

Porcja: 4 osoby



- 100 g sera Pecorino Romano
- 100 g sera Parmigiano Reggiano
- świeżo mielony czarny pieprz (spora szczypta)
- sól (do gotowania makaronu).



Sposób przygotowania:

Przygotuj dużą patelnię. Pokrój guanciale w cienkie paski. Umieść je na zimnej, dużej patelni i ustaw mały ogień. Smaż powoli, aż tłuszcz się wytopi, a mięso stanie się złociste i chrupiące. Odstaw patelnię z ognia, przełóż guanciale na talerz (będzie użyte na końcu), a tłuszcz pozostaw na patelni. Makaron ugotuj w osolonej wodzie w trakcie gotowania. W międzyczasie wbij żółtka do miseczki i zmieszaj z połową sera, dodaj świeżo zmielony pieprz i dobrze wymieszaj. Gdy makaron się ugotuje, przełóż go bezpośrednio na rozgrzaną patelnię z tłuszczem po guanciale. Wszystko dobrze wymieszaj, aż będzie porządnie parować z patelni. Wyłącz ogień i ciągle mieszając wlej żółtka z serem. Powstanie wtedy jednolity krem. Przekładamy nasz makaron na talerze i posypujemy resztką sera, guanciale oraz pieprzem.



Składniki:

- 500 g makaronu spaghetti
- 300 g guanciale (policzki wieprzowe)
- 8 żółtek dużych jajek

Deser zabajone

Porcja: 4 osoby



Sposób przygotowania:

Wybierz garnek i miskę o odpowiedniej średnicy – miska powinna swobodnie opierać się na garnku, ale nie dotykać jego dna. Wlej do garnka niewielką ilość wody (ok. 1 cm wysokości) i postaw go na najmniejszym ogniu. W misce umieść żółtka i ubijaj trzepaczką przez około 2 minuty, aż lekko się spienią. Stopniowo dodawaj drobny cukier, cały czas ubijając (przez około 4 minuty), aż masa stanie się jaśniejsza i puszysta. Następnie umieść miskę na garnku z gorącą wodą, uważając, aby dno miski nie dotykało wody. Powoli wlewaj wino Marsala (lub inny alkohol), nie przerywając ubijania. Proces powinien trwać kolejne 4 minuty – masa powinna stać się aksamitna i gęsta. Przelej gotowe zabajone do pucharków lub kieliszków. Podawaj od razu, najlepiej z espresso.



Składniki:

- 4 żółtka
- 5 łyżek drobnego cukru (ok. 75 g)
- 50 ml słodkiego wina Marsala (można zastąpić rumem lub brandy)

Notowała: Magdalena Wojtaszek
Zdjęcia: Lukrecja Buczek



Rzeczy i my

W 2018 roku Marcin Wicha dostał literacką nagrodę Nike za książkę „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”. Publikacja dołączyła na mojej półce do innych, z niewidzialnym napisem „do przeczytania”, aż... gdzieś mi się zawieruszyła i po prostu zupełnie zapomniałam, że ją mam. Kiedy pod koniec stycznia media obiegła wiadomość, że autor (miał 53 lata) nie żyje, oczywiście, przypomniałam sobie o „Rzeczach...”. Własnego egzemplarza nie odnalazłam, ale od czego mam czytających znajomych? Książkę pożyczyłam i szybko zanurzyłam się w opowieść.

Coś w tym jest (na marginesie), że kiedy śmierć spleta nam swoją niespodziewaną wizytą figla, budzi się zainteresowanie zmarłym. Ja też odczułam palącą potrzebę dowiedzenia się, co autor nam zostawił. A zostawił przepiękną, poruszającą historię o swojej matce, o relacji z nią, a przede wszystkim o jej życiu. O tym wszystkim opowiada, porządkując mieszkanie po jej śmierci w 2015 roku. I momentalnie przychodzi do głowy myśl o nas, żyjących. Co zostawiamy po sobie? Ile rzeczy, które po nas zostaną, opowiedzą o nas samych? Nasi przodkowie zostawiali po sobie rękopisy, potem fotografie, my – coraz rzadziej zaznaczamy naszą krótką obecność na ziemi odręcznym śladem (pomijając artystów sztuk pięknych, ale to zupełnie inna historia).

Marcin Wicha prowadzi Czytelnika przez życie swojej matki (Joanny Rabanowskiej-Wichy, psycholożki), kobiety inteligentnej, o twardym charakterze, wiedzącej, czego chce od życia. Ta intymna opowieść syna o rodzicielce pozbawiona jest sentymentalizmu, za to opowiedziana pięknym językiem. Ale nie jest to tylko opowieść o rodzinnych więziach. Z kart książki wyłania się obraz Polski sprzed lat, przywołany właśnie przez rzeczy, które porządkuje syn. A że matka robiła dużo notatek, zbierała fragmenty czasopism i kupowała książki – mamy wyimki z codzienności w naszym kraju z czasów, o których chętnie mówili: słusznie minione. Do tego oboje rodzice lubili kupować, nabywali więc rzeczy potrzebne i niepotrzebne, w ilościach mało rozsądnych. Autor opowiada o żydowskim pochodzeniu matki i o wojennych rodzinnych historiach. Nie ma miejsca ani na wielkie słowa, ani na spowiedź na kolanach. Są po prostu prawdziwi ludzie, których spotkały różne życiowe dramaty.

Marcin Wicha był nie tylko pisarzem (pisał również dla dzieci), spełniał się także jako grafik. Projektował okładki książek, tworzył plakaty. Przy tym – co powtarza się często we wspomnieniach – był skromnym człowiekiem. I utalentowanym. „Rzeczy...” zostały wyróżnione nie tylko nagrodą „Nike”, ale też Paszportem Polityki i Nagrodą Gombrowicza. Warto sięgnąć po tę książkę, choćby po to, żeby wywołać refleksję nad przemijaniem.

Joanna Wyrzykowska



Witajcie w piekle

Sześć odcinków, a intensywność godna sześciu sezonów. Historia nierozmyta wypełniaczami, brutalna, choć nie tak krwawa, jak donoszą zapowiedzi. Obrazem i narracją „Świt Ameryki” budzi skojarzenia ze „Zjawą” (ten sam scenarzysta i producent, Mark L. Smith), a bezkompromisowością i brakiem złudzeń prozę Cormaca McCarthy’ego. Kolejne filmowe dzieło rozlicza się z historią Ameryki ufundowanej na ziemi przesiąkniętej krwią rdzennych mieszkańców, zawłaszczonej, zdobytej siłą, pokazujące, jak bardzo Dzikie Zachód zasłużył na swoją nazwę.

Punktem wyjścia jest zdarzenie rzeczywiste – masakra pod Mountain Meadows, rzeź grupy kolonistów przemieszczających się przez terytorium Utah, dokonana w 1857 roku przez mormońską policję (zapoczątkowała ona wojnę w Utah). Krzyżują się tu drogi fikcyjnych i prawdziwych bohaterów: Sary Rowell i jej syna usiłującej dotrzeć do męża; Isaaca – trapera i samotnika, który w tej przeprawie pomaga; Johna Pratta desperacko szukającego żony Abish i Abish porwanej przez przywódcę Szoszonów, Czerwone Pióro.

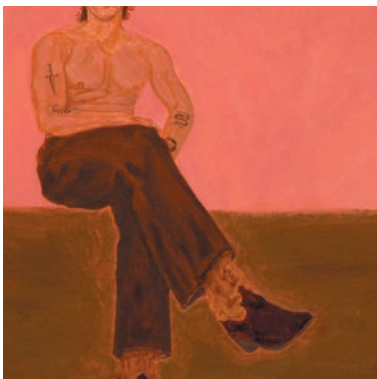
Jest też piszący zaskakująco poetycki dziennik, próbujący dociec prawdy o masakrze kapitan amerykańskiej armii Dellingera i wspaniale sarkastyczny traper i założyciel fortu, Jim Bridger (jego wątek pojawia się też we wspomnianej „Zjawie”). Plus gubernator Utah Brigham Young, będący sumą mormońskiego zakłamania i chciwości, odmalowanego w serialu bez ogródek.

Z historycznego wątku i losów genialnie skonstruowanych – także pobocznych – postaci reprezentujących różne strony konfliktu powstał skomplikowany obraz wpływów i zależności czasów formowania się najpotężniejszego państwa świata. Z ukłonem dla dzikiej przyrody, milczącego świadka krwawego procesu, którego jedynie wycinek oglądamy. Bez filtrów, pomijając te wizualne, sprawiające, że mrok już surowego krajobrazu trudno znieść.

Nie ma w tej z rozmachem sfilmowanej opowieści jasnych punktów ani optymizmu. Żadnej sprawiedliwości. Jest brud, przemoc, walka o przetrwanie. I o ziemię, do której wszyscy roszczą sobie prawo, unieważniając i eliminując jej prawowitych gospodarzy i wplatając w ten proces fałszywą religijność. Jeśli ktoś to piekło przeżywa, to nie dlatego, że jest silny, cwany lub moralny, ale dlatego, że nie został zabity. Niektórzy zachowując godność.

„Świt Ameryki” („American Primeval”),
reż. Peter Berg, Netflix

Anna Makochonik



W rytmie soulu i r&b

Debiutancka EP-ka Don Westa to udane połączenie klasyki soulu, bluesa i R&B z nowoczesnym twistem. Artysta karierę rozpoczął od nauki gry na gitarze ojca z lat 70., później poznał akordy wspomnianych gatunków dzięki bratu. Pierwsze muzyczne kroki stawiał jako basista w zespole Sons Of The East. Pochodzi z Sydney w Australii, inspiruje się takimi legendami jak Marvin Gaye, Al Green czy James Brown. Soulową karierę rozpoczął wraz z nawiązaniem współpracy z producentem KESMAR-em i w 2019 roku ukazał się jego pierwszy debiutancki singiel zatytułowany „Money”. Duet z powodzeniem tworzy kompozycje w klasycznym, a zarazem świeżym stylu. Pod koniec listopada 2024 roku wysłała jego EP-ka pod nazwą „Don West” i to dzięki niej zwróciłam uwagę na twórczość tego artysty. Zawiera sześć utworów. Od pierwszej piosenki słysząc, że West doskonale rozumie dynamikę muzyki soulu. „What Turns You On” to numer, który przenosi nas w klimat lat 60., ale nie brzmi jak kopia dawnych hitów – raczej jak ich nowoczesna interpretacja. Ciepłe brzmienie basu i analogowe instrumenty budują autentyczność muzycznej podróży. Kolejne utwory potwierdzają, że Don West ma talent nie tylko do nostalgii, ale i do narracji. Śpiewa z lekkością, ale i z autentycznym uczuciem, co wyróżnia go na tle wykonawców, próbujących odtworzyć retrobrzmienia. Słuchając EP-ki, można odnieść wrażenie, że Don West nie tylko inspiruje się dawnymi mistrzami, ale faktycznie rozumie ich muzyczny język. Produkcja, choć celowo zachowuje oldschoolowy charakter, jest nowoczesna i dobrze wyważona – nie ma tu przesadnej stylizacji. Sam artysta mówi, że to muzyka łatwa do słuchania i ma nadzieję, że pasuje do każdej sytuacji. Na szczególną uwagę zasługują przede wszystkim „Rather Be Lonely” i „Small Change”.

Ten drugi utwór pokazuje, że West stawia na prostotę, ale w najbardziej wyrafinowany sposób. Utwór jest hipnotyzujący z niespiesznie płynącą melodią i subtelnym, ale głębokim rytmem. Natomiast „Friends” to kawałek, który jest pełen nostalgii, jak i optymizmu, wciąga słuchacza w opowieść o relacjach międzyludzkich, które często bywają pełne zaskakujących zwrotów akcji. Warto zwrócić uwagę na okładkę, którą stworzył Dan Rushford, artysta wizualny z Sydney, który koncentruje się na malarstwie i ilustracji. Jego prace charakteryzują się żywymi kolorami i dynamicznymi kompozycjami, często inspirowanymi naturą i kulturą australijską. Wracając do muzyki – Don West udowadnia, że soul wciąż może brzmieć świeżo. Jego EP-ka to nostalgiczna podróż, ale z nowoczesnym spojrzeniem – coś, co zarówno fani klasycznych brzmień, jak i nowej fali soulu docenią. Jeśli EP jest zapowiedzią pełnego albumu, to można spodziewać się czegoś naprawdę wyjątkowego.

Magdalena Wojtaszek



The Mountain

Zespół Haken powstał w 2007 roku założony przez multiinstrumentalistę Richarda Henshalla, gitarzystę Matthew Marshalla i wokalistę Rossa Jenningsa. Muzycy trzy lata wcześniej postanowili założyć zespół i poszukiwali muzyków do „skompletowania” kapeli. Ostatecznie skład został uformowany w 2010 roku, co skutkowało nagraniem pierwszej płyty „Aquarius” w wytwórni Ken Golden of Sensory Records. W kolejnym roku powstała płyta „Visions”, a dwa lata później – „The Mountain”, zawierająca zjawiskową muzykę.

Zespół gra mocno, dynamicznie. Wszystkie instrumenty są równoważne, a każdy podąża własną ścieżką, co w efekcie daje ciekawy spłot melodyczny. Pod tym względem (ale tylko pod tym) Haken przypomina o wiele starszą i wielokrotnie bardziej znaną brytyjską grupę Yes. Chodzi o to, że w takim założeniu nie ma instrumentów niejako „służebnych” wobec innych. Gitara basowa, klawiszowe czy gitara prowadząca prowadzą własne linie melodyczne wokół pewnej myśli i melodii przewodniej, którą wykonuje wokalista Ross Jennings. Można odnieść wrażenie, że instrumenty niejako „oplatają” głos wokalisty, który niestrudzenie stanowi fundament muzycznego założenia. Instrumentaliści wykonują perfekcyjne, często szalone w technice i prędkości pasáže, a Jennings swoją zrównoważoną linią melodyczną nadaje zespołowi kierunek. Jestem absolutnie pod wrażeniem głosu Jenningsa. Potężny, czysty wokal na miarę Grega Lake’a z legendarnej grupy ELP. I nie chodzi mi o podobieństwo tembru głosów obu wokalistów, ale o moc, krystaliczną czystość wokalu. Cokolwiek by się działo w warstwie instrumentalnej, głos Jenningsa jest jak kolumna wspierająca całą muzykę, czasami wręcz szalejącą na gitarach czy klawiszach. Tym bardziej że instrumenty wcale nie wspierają wokalu, a jak już wspominałem, często podążają własną drogą.

Styl muzyki prezentowanej przez Haken określany jest jako metal progresywny i w zasadzie trudno by się z tym nie zgodzić. To mocne i głośne granie, ale na płycie „Mountain” głośnieму graniu towarzyszy rewelacyjna melodyka. Zespół w przedziwny sposób wręcz przeskakuje od wyjątkowo melodyjnej muzyki do prawdziwego „łomotu” instrumentalnego w formie popisowych łamańców udowadniających wirtuozerskie umiejętności techniczne muzyków, ale bywa to wręcz irytujące na pozostałych płytach zespołu. Jednak na „Mountain” proporcje są odwrotne – to głównie melodyka z przerywnikami technicznych popisów, co dało w efekcie jedną z moich ulubionych pozycji wydawniczych ostatnich paru lat. Ostatnie parę płyt zespołu to głównie „łomot” z przerywnikami melodycznymi. Ale wielkie dzięki Hakenowi za chociaż tę jedną – rewelacyjną!

Robert Nawrocki

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

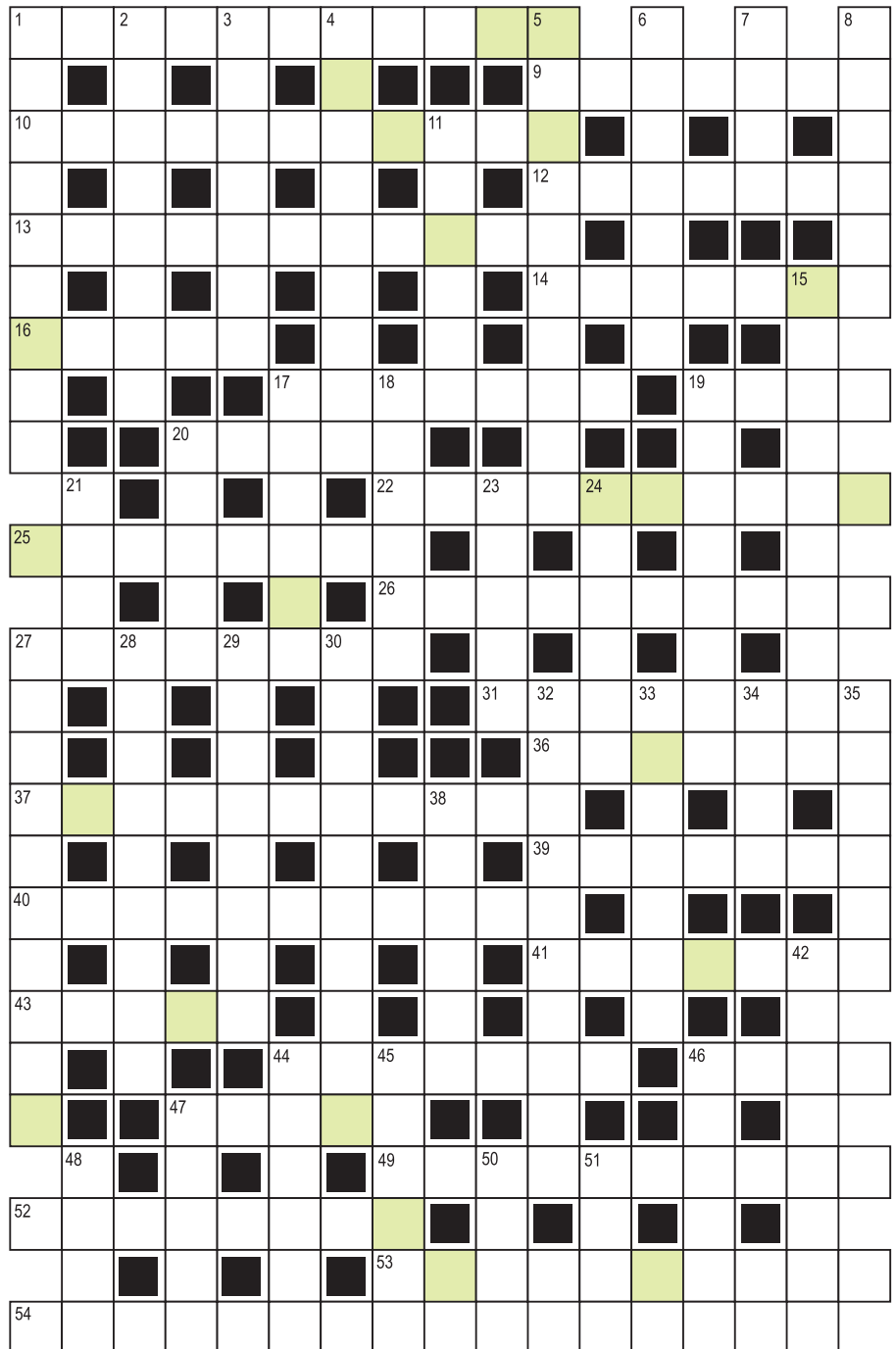
Wpisz do diagramu wszystkie odgadnięte hasła, a następnie odczytaj rzędami litery z kolorowych pól. Utworzą one dodatkowe rozwiązanie, którym jest hasło na czasie. Wszystkim Szaradziście i Szaradziście życzymy przyjemnej rozrywki.

Poziomo:

- 1) kobieta miłośniara, bezinteresownie pomagająca bliźnim
- 9) przegrana bitwa; klęska
- 10) funkcjonariuszka strzegąca porządku i bezpieczeństwa publicznego
- 12) biały, rzucony na ring przez trenera oznacza poddanie własnego boksera
- 13) potocznie o sztuce teatralnej składającej się z trzech części
- 14) roślina o kłęczach zawierających olejki eteryczne, porastająca brzegi wód; ajer
- 16) samice jelenia lub daniela
- 17) przednie lub tylne światła w samochodzie uprzedzające o kierunku skręcania
- 19) tytuł mongolskiego lub tureckiego władcy feudalnego
- 20) grupa osób wzajemnie się popierających; sitwa
- 22) udawanie jakiejś czynności, symulowanie choroby albo stwarzanie pozorów
- 25) imię złego ducha, władcy piekieł
- 26) czatuje, surfuje po sieci, odwiedza strony www
- 27) człowiek zirytowany niemożnością osiągnięcia zamierzonego celu; desperat
- 31) starożytny wodociąg rzymski
- 36) hiszpański kapitan statku o nazwie Cicha Maria, postać z piątej części cyklu filmowego pt. „Piraci z Karaibów”
- 37) leczenie chorób zakaźnych za pomocą surowicy odpornościowej (wpisz w l.mn.)
- 39) zimny lub gorący prysznic; tusz
- 40) książkę – księstwo ; książ - ?
- 41) enzym; biokatalizator
- 43) kasza z całych ziaren jęczmienia lub pszenicy
- 44) afrykańska małpa z podrodziny koczokodanów (ułoż z sylab BA MAN GA)
- 46) Sokrates, Onassis, Vangelis, Theodorakis albo filmowy Zorba
- 47) potrawa mięsna w formie gęstej zupy
- 49) owad żerujący w maju na liściach drzew
- 52) tekst słowny opery, operetki lub baletu
- 53) szkolna cenzurka
- 54) głęboka rozpadlina górską; urwisko.

Pionowo:

- 1) podłużna płytka do uciskania języka przy badaniu gardła
- 2) piosenka Małgorzaty Ostrowskiej, skomponowana specjalnie do filmu „Podróż Pana Kleksa”
- 3) małe rzeczki, strumyki albo strugi
- 4) „... o wyobraźni”, piosenka z albumu koncertowego Jacka Kaczmarskiego pt. „Mimochoodem”, wydane w 2002 roku przez Polskie Radio
- 5) pogardliwie o urzędniku partyjnym
- 6) przedsiónek kościoła
- 7) tajemniczy mieszkaniec magicznej lampy Aladyna
- 8) w gimnastyce: odbicie obunóż po rozbiegu
- 11) silny strach
- 15) nauka o języku, kulturze i historii Arabów
- 17) kazalnica w meczecie
- 18) w szachach: rozpoczęcie gry z poświęceniem piona
- 19) niedorajda, ciapa
- 20) przypadek będący przedmiotem rozstrzygnięcia np. sądu
- 21) Amanda, francuska piosenkarka, wykonawczyni przeboju „Enigma”
- 23) jej sianie przez kobietę, wg starego obyczaju, oznaczało staropanieństwo
- 24) papierowa lub obciążona płótnem okładka książki albo albumu
- 27) esej – eseista , fraszka -?
- 28) ktoś nieustępliwy
- 29) przedstawienie kukielkowe dla dzieci
- 30) likier jajeczny
- 32) przesadna niechęć do obcych
- 33) niemiecka rzeka, w której utonął książę Józef Poniatowski zwany Pepi
- 34) część końskiej uprzęży (wpisz w l.mn.)
- 35) dzianina, z której wyrabia się stroje gimnastyczne, kąpielowe czy baletowe
- 38) ryba z bystrych górskich potoków
- 42) ignorancja
- 44) wedyjski hymn lub modlitwa
- 45) niebyt
- 46) gęstwina
- 47) zimowe wakacje
- 50) niewielki rój pszczoł, trzmieli albo os
- 51) prawobrzeżna część stolicy Węgier.



ZAPRASZAMY!!!

STACJA KONTROLI POJAZDÓW

pn.-pt. 8:00-18:00

sob. 9:00-13:00

NR ZK/018/P

tel. **668 308 308**

Koszalin, ul. Kolejowa 7B



Tu znajdziesz



M MIASTO PLUS

Kultura

- Centrum Kultury 105, ul. Zwycięstwa 105
- Koszalińska Biblioteka Publiczna, pl. Polonii 1
- Bałtycki Teatr Dramatyczny, pl. Teatralny 1
- Filharmonia Koszalińska, ul. Piastowska 2
- Centrum Rozrywki „Na Pięterku”,
ul. Jana Pawła II 15a

Handel i usługi

- Telewizja Kablowa Koszalin, ul. Kotarbińskiego 3
- Biuro Podróży Turysta, ul. Andersa 3
- C. H. Emka, ul. Jana Pawła II 20
- Hotel Gromada, ul. Zwycięstwa 20

Biznes

- Centrum Biznesu, ul. Zwycięstwa 42
- Koszalińska Izba Przemysłowo-Handlowa,
ul. Zwycięstwa 126

Inne

- KSM „Przylesie”, ul. Fałata 13
- KSM „Na Skarpie”, ul. Na Skarpie 17
- Regionalne Centrum Informacji Turystycznej,
ul. Dworcowa 11-15

Kawiarnie

- Kaliszczak, ul. Zwycięstwa 26a
- Kawiarnia Sowa, ul. 1 Maja 9a
- Koci Miętka, ul. Zwycięstwa 78

Miesięcznik dostaniesz również w Dziale Reklamy Telewizji Kablowej
Koszalin, ul. Krzyżanowskiego 4



DOMSTYL

największy salon
sprzedaży w regionie

**BRAMY • DRZWI • OKNA
PODŁOGI • ROLETY**

ul. Morska 4a, 75-218 Koszalin, tel. 94 300 00 14
domstyl.koszalin@op.pl
www.domstyl.koszalin.pl

Salon czynny:
pon-pt: 9-17, sob: 9-13